Cena egzemplarza wynosi
Mkp.

Nr. 3.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

ROK XXIII.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misjonarzy.
1921.

TREŚĆ ZESZYTU.

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE, UL. MIKOŁAJSKA L. 13,
POD ZARZĄDEM JÓZEFA DZIUBANOWSKIEGO.

NR 3

Msza święta i officium kapłańskie o Błogosławionej Ludwice de Marillac i Błog. Siostrach Miłosierdzia, umęczonych w Arras.

Ojciec św. Benedykt XV. na prośbę Najprzew. Ojca Generała Franciszka Verdier pozwolił Kongregacji Świętych Obrzędów na ogłoszenie dwóch dekretów, mocą których zatwierdza się mszę św. i officium kapłańskie o błog. Ludwice de Marillac tudzież o błog. Siostrach Miłosierdzia, umęczonych w Arras. Święto błog. Ludwiki de Marillac obchodzić się ma dnia 15 marca jako *festum duplex secundae classis*, święto zaś błogosławionych Męczenniczek ustanawia się na dzień 27 czerwca jako *festum duplex maius*. — Oto odnośne dekrety:

Dekret o Błog. Ludwice de Marillac.

Postquam in Basilica Vaticana septimo idus maii anni elapsi Beatorum Caelitum honores Ludovicae de Marillac Viduae Le Gras solemniter decrevit Benedictus Papa XV., eiusque festum quotannis die decimaquinta Martii recolendum indulsit in Archidioecesi Parisiensi et in omnibus templis ac religiosis domibus ad Congregationem Missionis et ad Societatem Caritatis ubique terrarum pertinentibus, Rmus Dnus Franciscus Xaverius Verdier, Superior Generalis eiusdem Congregationis Missionis et Puellarum Caritatis, Sanctissimo Domino Nostro Benedicto Papae XV. supplicia porrexit vota, ut illud festum ab utraque Vincentiana religiosa Familia sub ritu duplici secundae classis celebrandum concederet cum Officio et Missa propriis, quorum schema supremae sanctioni Apostolicae Sedis humillime subiecit. Quare, ad iuris tramitem, cum Emus et Rmus Dnus Cardinalis Vincentius Vannutelli, Causae Relator, in Ordinariis Sacrorum Rituum Comitiis, ad Vaticanum infrascripta die habitis exhibita eiusmodi Officii et Missae schemata, una cum Elogio Martyrologio inserendo, poposuerit, Emi et Rmi Patres sacris tuendis

Ritibus praepositi, re mature perpensa, auditoque R. P. D. Angelo Mariani S. Fidei Promotore Generali, rescribendum censuerunt: „Pro gratia et ad Emum Ponentem cum S. Fidei Promotore Generali". — Die 11 Ianuarii 1921.

Revisione demum enuntiati Officii et Missae rite peracta, hisque omnibus Sanctissimo Domino Nostro Benedicto Papae XV. ab infrascripto Cardinali eidem Sacro Consilio Praefecto relatis, Sanctitas Sua sententiam eiusdem Sacrae Congregationis ratam habuit et confirmavit: ac praeterea festum Beatae Ludovicae de Marillac Viduae a Sacerdotibus Congregationis Missionis et a Puellis Caritatis sub petito ritu duplici secundae classis celebrandum benigne largiri dignata est: servatis Rubricis. Contrariis non obstantibus quibuscumque. Die 12, iisdem mense et anno.

† Card. Vico, Ep. Portuen et S. Rufinae
S. R. C. Praef.

L. S. Alexander Verde, S. R. C. Secretarius.

Dodatek do Martyrologium Romanum pod dniem 15 marca:

Lutetiae Parisiorum, Beatae Ludovicae de Marillac, viduae Le Gras, discipulae dilectae sancti Vincentii a Paulo, simul cum ipso Societatis Puellarum a Caritate Fundatricis, quam virtutibus ac miraculis insignem Benedictus Decimus quintus Pontifex Maximus Beatorum fastis adscripsit.

(Tekst polski:)

W Paryżu błogosławionej Ludwiki de Marillac, wdowy Le Gras, ukochanej uczenicy św. Wincentego a Paulo, będącej wraz z Nim Założycielką Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, którą, opromienioną chwałą cnót i cudów, papież Benedykt piętnasty w poczet Błogosławionych zaliczył.

Dekret o Błog. Siostrach Miłosierdzia, umęczonych w Arras.

Quum Mariae Magdalenae Fontaine ac tribus eius Sociis ex instituto Puellarum a Caritate beatorum caelitum honores in Basilica Vaticana, die decimatertia mensis iunii, anno superiore, Summus Pontifex Benedictus Papa XV. decreverit, earumque festum in dioecesibus Cameracen. et Atrebaten., tum in omnibus templis ac domibus ubique terrarum ad Congregationem Missionis et ad Puellarum a Caritate institutum pertinentibus recolendum quotannis concesserit, Rmus Dnus Franciscus Xaverius Verdier, Superior generalis utriusque praedictae Vincentianae religiosae familiae, Sanctissimum eundem Dominum nostrum iteratis precibus rogavit, ut illud festum sub ritu duplici maiori celebrari valeat die vigesíma septima iunii cum Officio et Missa de communi plurium

Virginum et Martyrum ac lectionibus secundi nocturni historicis, atque orationibus propriis, quarum schema legitime approbandum humillime subiecit.

Quamobrem, ad iuris tramitem, quum Emus et Rmus Cardinalis Vincentius Vannutelli, causae relator, in ordinariis Sacrorum Rituum Comitiis, infrascripta die ad Vaticanum habitis, eiusmodi lectionum, orationum atque elogii martyrologio inserendi exhibita schemata proposuerit, Emi et Rmi Patres, sacris tuendis ritibus praepositi, omnibus perpensis, auditoque R. P. D. Angelo Mariani, S. Fidei promotore generali, rescribendum censuerunt: „Pro gratia, et ad Emum ponentem cum S. Fidei promotore generali". Die 11 ianuarii 1921.

Denique propositarum eiusmodi lectionum, orationum atque elogii revisione peracta, et his omnibus Sanctissimo Domino nostro Benedicto Papae XV. per infrascriptum Cardinalem Sacrae Rituum Congregationi Praefectum relatis, Sanctitas Sua sententiam sacri eiusdem consilii ratam habuit et confirmavit. Contrariis non obstantibus quibuscumque. Die 12, iisdem mense et anno.

† A. Card. Vico, ep. Portuen et S. Rufinae
S. R. C. Praefectus.

L. S. Alexander Verde, S. R. C. Secretarius.

Dodatek do Martyrologium Romanum pod dniem 27 czerwca.

In civitate Cameracensi passio Mariae Magdalenae Fontaine, Mariae Franciscae Lanel, Teresiae Fantou et Ioannae Gérard, Puellarum a Caritate, quae tempore Gallicae seditionis gloriosam martyrii coronam acceperunt et a Benedicto decimo quinto in Beatarum Martyrum numerum relatae sunt.

(Tekst polski :)

W mieście Cambrai śmierć męczeńska Sióstr Miłosierdzia Marji Magdaleny Fontaine, Marji Franciszki Lanel, Teresy Fantou i Joanny Gérard, które w czasie rewolucji francuskiej otrzymały chwalebny wieniec męczeństwa a przez Benedykta piętnastego w poczet Błogosławionych Męczenniczek zaliczone zostały.

Nadzwyczajne uzdrowienia, uzyskane za przyczyną błog. Ludwiki de Marillac.

Chwałę błogosławionej Ludwiki de Marillac, założycielki Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, świeżo zaliczonej w poczet niebian, zaczyna Pan Bóg rozsławiać coraz to nowszymi cudami. Dowodem tego dwa cudowne uzdrowie-

nią, uzyskane niedawno temu za przyczyną tej nowej Błogosławionej; jedno dokonało się we Francji, drugie na ziemi polskiej.

* * *

W zakładzie św. Józefa Sióstr Miłosierdzia w Sotteville we Francji wychowywała się od roku 1905 dziewczynka — sierota, Gabrjela Bideaux, dziecko nadzwyczaj wątłe i chorowite, które zarodki swej choroby odziedziczyło po rodzicach; matka, bracia i siostry — wszyscy pomarli na gruźlicę. Nic dziwnego zatem, że w r. 1911 i ona zapadła na tę chorobę dziedziczną, tak, iż musiano przenieść ją do szpitala. Straszna choroba zaczęła toczyć jej organizm, gruźlica stawów, skutkiem której zrazu lewa, potem prawa noga stała się bezwładną; ani kolana zgiąć, ani na stopach stanąć chora nie była w stanie. Niebawem odezwały się bóle w plecach, które wzmogły się do tego stopnia, że Gabrjelka nie mogła usiąść na łóżku, a usiadłszy przy cudzej pomocy nie mogła się wyprostować. Lekarz, widząc początki tak zwanej „choroby Pott'a", kazał jej założyć rynienkę, ażeby zapobiedz zapadnięciu się kości pacierzowej. Było to dnia 25 grudnia 1913 r., odtąd chora nie miała się rozstać ze swoim pancerzem aż do 9 lipca 1920 r.

To ubezwładnienie nie uleczyło jednak chorej i cierpienia jej ciągle się wzmagały. Gdy z konieczności lub przez nieostrożność dotknięto ją w plecy, traciła zaraz przytomność. Lekarze, zapytywani o powód tych zemdleń, powiadali: „Boleści te powstają wskutek nacisku, wywieranego na szpik pacierzowy; kości pacierzowe, toczone przez chorobę, próchnieją, a każde poruszenie wysuwa je ze swojego miejsca, stąd utrata przytomności". Po tych przypadłościach tworzyły się rany to tu, to tam, często także na twarzy, która stawała się potworną. Oczy były nabrzmiałe, skóra pokryta białemi, ropnemi centkami — istny trup w rozkładzie. Wszystkie środki lekarskie pozostawały bez skutku, jedynie tylko uspokajały chorą zastrzyki morfinowe.

W takim stanie rzeczy, kiedy wszystkie zabiegi ludzkie okazały się bezskutecznymi, Siostra Miłosierdzia, która chorą Gabrjelkę pielęgnowała, wpadła na myśl, by zwrócić się o pomoc do nieba za pośrednictwem Błog. Ludwiki de Marillac, świeżo wyniesionej na ołtarze.

Ostatniego czerwca — opowiada owa Siostra*) — namówiłam nasze drogie maleństwo, aby zaczęło odprawiać nowennę do naszej Błog. Matki Ludwiki de Marillac. Z największą ochotą przygotowałyśmy się do tej nowenny, prosząc o modlitwy wszystkich przyjaciół. Ksiądz proboszcz dzień w dzień przez całą nowennę przychodził sam do Gabrjelki z Komunją św. i zawsze powiedział jej parę budujących słów. Gabrjelka miała tak silną wiarę w bliskie swe uzdrowienie, że zadawałam sobie pytanie: „Z jakiem usposobieniem przyjmie wolę Bożą w tym wypadku, gdyby nie wyzdrowiała?“, ale myśl ta była tylko przelotną, gdyż wszystkie byłyśmy przekonane, że zbliża się koniec jej cierpień. Nowenna rozpoczęła się we wtorek dnia 6 lipca, a brały w niej udział Siostry, sieroty zakładowe, starcy i sama Gabrjelka ze swojemi przyjaciółkami i pielęgniarkami. Odmawiałyśmy modlitwę: „Wielbimy Cię, o Przenajświętsza Trójco“ itd. i zwykłe wezwania. Codziennie powtarzałam jej, żeby oddała się w ręce Boga, będąc przygotowaną czy na dalszą chorobę,czy na wyzdrowienie, zgodnie z Jego Najświętszą wolą. Chora zgadzała się, ale z uśmiechem mawiała do mnie: „Wyzdrowieję, droga Siostro!“.

Doktorzy belgijscy, którzy leczyli naszą chorą w czasie wojny, odjechali w czerwcu, prosiłyśmy więc o jakiego innego lekarza dla naszych chorych. Tydzień przed rozpoczęciem nowenny, prosiłam go, by odwiedził chorą Gabrjelkę, która odtąd miała pozostawać pod jego opieką. Lekarz czynił próby, czy chora nie mogłaby usiąść, ale nadaremnie; chciał zgiąć jej kolana, lecz ośmioletnia bezwładność stawów na to nie pozwalała. Zapytałam go, coby należało czynić, by

*) Annales, r. 1921 str. 265.

choć częściowo przywrócić gibkość zesztywniałym nogom; odpowiedział: „Zrosty stawów są tak mocne, iż trzebaby chloroformu, żeby je rozerwać i to dla uzyskania bardzo nikłych rezultatów“. Lecz ponieważ te zabiegi lekarskie wstrząsnęły kością pacierzową, wywołały przeto znów wrzód w okolicy pachwiny, na ciele powstała puchlina, również i kolano, które doktór próbował był zgiąć, spuchło. Taki był stan chorej, kiedy zaczęłyśmy nowennę we wtorek. W nocy z czwartku na piątek Gabrjelka cierpiała tak bardzo, że poprosiła o zastrzyknięcie morfiny o godzinie drugiej z rana. Siostra, która robiła zastrzyk, na widok spuchniętego kolana powiedziała do drugiej Siostry: „Gabrjelka albo wyzdrowieje, albo umrze, zanadto jest chorą, by mogła żyć tak dalej“. Niedługo po południu prosiła chora o powtórne zastrzyknięcie, ale ponieważ doktór miał niebawem nadejść pod wieczór, więc chciałam, by widział jej cierpienia i by się przekonał, jakie skutki wywołały jego zabiegi w przeszłym tygodniu. Biedne dziecko wyrywało sobie włosy, mówiąc: „Gdyby Siostry wiedziały jak ja cierpię, pozwoliłyby na zastrzyknięcie. Błogosławiona Ludwiko de Marillac, przynieś mi ulgę!...“ Na prośbę jednej z mych towarzyszek pozwoliłam na zastrzyknięcie, więc Siostra poszła na piętro.

Wtedy Gabrjelka, wzywając Błog. Ludwiki de Marillac, schwyciła za dzwonek, żeby kogo przywołać i sama, nie wiedzieć jakim sposobem, choć opancerzona, usiadła z nogami złożonemi na krzyż i zgiętemi. Ze wszystkich sił zawołała: „Jestem uzdrowiona, jestem uzdrowiona!“ Nie odstępująca jej od lat dziewięciu pielęgniarka zbiegła na dół po mnie, blada jak śmierć. Pobiegłam za nią, nie wiedząc, czy temu wierzyć, weszłam do pokoju Gabrjelki i zastałam ją siedzącą na kolanach pewnej Siostry. Kiedy mię ujrzała, rzuciła mi się na szyję z okrzykiem: „Moja Siostro, jestem uzdrowiona! Czy to prawda? Czy chcesz, żebym chodziła?“ Powiedziałam: „Dobrze“, a ona natychmiast stanęła na nogach i postąpiła kilka kroków. W jednej chwili wymioty

poprzednich dni ustały, kolano sklęsło, bóle minęły a puchlina znikła zupełnie. Za szczupły był pokój, by mógł pomieścić wszystkich ciekawych, cisnących się bez przerwy aż do wieczora tego dnia i nazajutrz w sobotę. W niedzielę trzeba było drzwi zamknąć, żeby Gabrjelki zbytnio nie męczyć. Nazajutrz po odzyskaniu zdrowia udała się Gabrjelka do kościoła na chórek, by podziękować miłościwemu Bogu za udzielenie jej tej łaski przez przyczynę Błog. Ludwiki de Marillac, a w niedzielę zeszła do kaplicy, by wysłuchać mszy i przyjąć Komunję św. Dotąd nie była w kościele na mszy św. począwszy od 15 sierpnia 1912 roku. Zwyczajnie trzeba na nowo uczyć chorych sztuki chodzenia, którzy długo w łóżku leżeli, ale Gabrjelka nie potrzebowała tej powtórnej nauki. W kilka tygodni po swem uzdrowieniu, upadając, uderzyła się mocno w samą kość pacierzową; naturalnie, że uczuła ból, lecz uderzenie to nie miało żadnych następstw, gdy tymczasem przed uzdrowieniem najmniejsze poruszenie wywoływało straszliwe boleści, trwające całymi tygodniami. Mięśnie jej, które zanikły wskutek długiej bezwładności, nabierają życia i tężyzny, dziewczynka wchodzi i schodzi po schodach, jeździ w powozie i krząta się przez cały dzień. Szczęśliwą się czuje, że żyje teraz tak jak inni ludzie, ona, która przez dziewięć lat niezdolną była do żadnego wysiłku.

My również czujemy wdzięczność dla naszej Błog. Matki de Marillac, która z wysokości niebios łaskawe rzuciła spojrzenie na ten dom, gdzie przez tak długi czas to biedne maleństwo wiło się w boleściach, lecz bez szemrania, bez skargi, jednej tylko rzeczy pragnąc: módz usiąść na łóżku. Otrzymało ono więcej i umie tę łaskę ocenić.

*
* *

Inne podobne uzdrowienie uzyskane zostało za przyczyną Bł. Ludwiki de Marillac na ziemi polskiej, mianowicie w Chełmnie (Pomorze Polskie); jedna ze Sióstr Miłosierdzia, tak opisuje to zdarzenie, którego była naocznym świadkiem.*)

*) List pisany do Redakcji „Roczników“ z dnia 2 sierpnia 1921.

„Było to 16 lipca 1920 r. w trzeci dzień triduum, odprawianego w kaplicy Domu Centralnego Sióstr Miłosierdzia w Chełmnie na cześć Błog. Matki Ludwiki de Marillac i Sióstr Męczenniczek. W szpitalu naszym leżała od kilku miesięcy, bo od lutego 1920 r. p. Zofja Wałukiewicz ze Lwowa, która po ciężkiej grypie dostała reumatyzmu stawowego i ruszyć się z łóżka nie mogła. Nogi popuchnięte i powykrzywiane bolesnem jej czyniły każde poruszenie, tak, że mimo największej przezorności bez bólu łóżka nawet poprawić jej nie było można. Lekarze nadaremnie szukali i używali wszelkich środków celem przywrócenia jej zdrowia, różne zastrzyki, ogrzewania itd. okazały się bezskuteczne, wreszcie uznali ją za nieuleczalną i rokowali jej kalectwo na całe życie. Podczas triduum, chora, lubo nigdy do naszej Błogosławionej Matki i Błogosławionych Sióstr Męczenniczek się nie modliła, usłyszała jakoby jakiś głos wewnętrzny, że za ich przyczyną uzdrowioną zostanie i prosiła Siostrę oddziałową, by ją na nabożeństwo do kaplicy zanieść kazała. Z nogami poowijanemi w watę i bandaże, zaniesiono chorą na krzesełku do kościoła na sumę. Gdy się zbliżała chwila Podniesienia, chora, parta jakimś głosem wewnętrznym, chciała uklęknąć, ale przypomniała sobie, że nogami sama poruszać nie może. Po sumie podczas błogosławieństwa Przenajświętszego Sakramentu uczuła nagle dotkliwy ból we wszystkich członkach, dreszcz wstrząsnął całem jej ciałem i nieświadomie, jakąś siłą nadziemską pchnięta z krzesła, znalazła się na klęczkąch i uczuła się zdrową zupełnie. Gdy po mszy św. nadeszły posługaczki, by zanieść ją na salę chorych, znalazły ją klęczącą jeszcze i zalaną łzami. Zawołała: „Jestem zdrowa, sama pójdę“ i po tych słowach wstała i prędkim krokiem, nie zdradzającym najmniejszego wysiłku, iść zaczęła. Wszystkich ogarnęło nieopisane wzruszenie, a chora płacząc i śmiejąc się naprzemian, pobiegła do Siostry oddziałowej pokazać jej, że uzdrowioną została. Przywołany lekarz zbadał chorą jak najsumienniej, opuchlina znikła zupełnie, nogi wykrzywione w kostkach i kolanach

zupełnie były proste i za dotknięciem chora nie odczuwała żadnego bólu; gorączka, która dotąd zawsze wracała wieczorem, znikła zupełnie. Kilka dni bacznej obserwacji lekarskiej wykazało, że stan ten jest trwały i doktór uznał, że uzdrowienie to natychmiastowe i zupełne nadprzyrodzonej tylko mocy przypisać można. Chora zaraz włożyła buciki i cały dzień chodziła po domu i ogrodzie, ciesząc się odzyskanem zdrowiem, a na drugi dzień widziano ją klęczącą podczas mszy św. na kamiennej posadzce kościelnej.

Serca nasze przepełnione są żywą wdzięcznością za ten cud, który jest objawem szczególnej opieki Błogosławionej Matki naszej; to też z tem większą ufnością jeszcze wzywamy odtąd Jej wstawiennictwa i nieraz doznałyśmy już skuteczności tegoż.

Jedna z Sióstr od lat kilku mająca ranę w kości pacierzowej, która mimo kilku operacyj goić się nie chciała, po odprawieniu nowenny do Błogosławionej Matki uzdrowioną została i rana się zabliźniła a Siostra ta od kilku miesięcy pracuje w urzędzie".

Nasze domy w Brazylji.

Przeszłej zimy (r. 1920/21) odprawiłem wizytę części prowincji naszego Zgromadzenia, która się znajduje w Brazylji. Po powrocie z tej dalekiej podróży spotykałem się często z pytaniami ze strony Konfratrów i Sióstr, które świadczyły o ich nie małem zainteresowaniu się dziełami naszymi tamże. Ciekawość tę tak chwalebną, boć przecie interesować się powinniśmy dziełami, które Zgromadzeniu powierza Opatrzność, postanowiłem zaspokoić, podając w „Rocznikach" ogólny obraz dzieł naszych w tamtej części prowincji. Najpierw o Misjonarzach a potem o Siostrach pisać będę.

Polskich Misjonarzy i Siostry sprowadziła do Brazylji potrzeba opieki duchownej dla polskich kolonistów, którzy

od przeszło lat 50 osiedlać się poczęli w Brazylji. Emigracja Polaków do Brazylji nie była ani tak planowa, ani nie zostawała pod opieką własnego rządu, któregośmy nie mieli, jak była n. p. emigracja niemiecka. Mimo to warunki klimatyczne i charakter rolniczy emigracji naszej skierowały Polaków w większe osiedlenia i skupienia. Warunki najodpowiedniejsze dla naszych emigrantów były w stanie Parana i w dwóch innych południowych stanach Brazylji t. j. w St. Catharina i w Rio Grande do Sul. Ponad wszystko zaś warunki Parany sprzyjały najwięcej Polakom. To też tutaj osiadła przeważna większość naszych kolonistów. Tutaj więc przez pobożnego i gorliwego pierwszego biskupa Parany (ze stolicą w Kurytybie) Don José Camargo zostali przed 18 laty wezwani Misjonarze z Polski. Najpierwsza ich placówka, w której rozwijać poczęli swą pracę, to Thomas Coelho, kolonja polska, rozciągająca się na południowy-zachód od stolicy stanu, Kurytyby. Odległość Thomas Coelho od stolicy jest około 20 km. Zwrócić muszę uwagę czytelników moich na tę okoliczność, że nazwa n. p. Thomas Coelho oznacza kolonję, która jest centrum działalności Misjonarzy i ich siedzibę. Ale pole ich działania obejmuje kilka kolonij o różnych nazwach, które rozciągają się nieraz na kilkadziesiąt kilometrów. Z czasem rozwinęła się ich działalność tak, iż obecnie pracują na 13 placówkach i większa część Polaków w Paranie i St. Catharina należy pod ich opiekę duchowną. Obecnie są Misjonarze w Paranie w trzech dużych ogniskach, w stanie zaś St. Catharina na dwóch odległych od siebie placówkach.

Ognisko pierwsze pracy Misjonarzy w Paranie stanowi okolica stolicy, Kurytyby, a więc wschodnia część stanu Parana. Około stolicy rozwinęły się najstarsze polskie kolonje, które otoczyły Kurytybę wielkim pierścieniem wokoło, oprócz strony wschodniej. Pierścień ten jest na kilka do kilkunastu kilometrów gruby. Cały prawie ten pierścień jest pod względem duszpasterstwa w rękach naszych polskich Misjonarzy. Jak już wspomniałem, Thomas Coelho

koniec południowo-zachodni tego pierścienia, pierwsze stało się polem pracy naszych Konfratrów. Na przestrzeni, oddanej ich pieczy duchownej, są 2 kościoły i nadto kaplica w kolonji Krystyna. Później objęli duszpasterstwo na północnym krańcu pierścienia tego z siedzibą w Abranches. Abranches, to jakby północne przedmieście stolicy, odległe od niej 6 kilometrów i połączone z nią prawie bezpośrednio swymi osadami. Stało się pod względem kościelnym centrum całego szeregu polskich kolonij w tej stronie. Tu jest kościół parafjalny. Nadto jest kapliczka w kolonji Antonio Prado, dokąd misjonarz z Abranches raz na miesiąc dojeżdża. Wreszcie przed laty 13 tu objęli misjonarze w swą opiekę duchowną środkową i zachodnią część tego pierścienia, część, składającą się z całego szeregu polskich kolonji a których centrum stanowi Orleans, gdzie jest kościół parafjalny. Oddalenie siedziby misjonarzy od miasta wynosi godzinę drogi. Do ostatnich czasów nasi polscy misjonarze, choć otaczali Kurytybę, w samej jednak stolicy nie mieli swego domu. Dość dużo, bo kilka tysięcy Polaków, zamieszkuje w tym mieście jako robotnicy i przemysłowcy. Na samym początku przybycia naszych polskich Konfratrów do Parany wzywano ich do objęcia duszpasterstwa nad rodakami w mieście. Nie czując się jednak dostatecznie na siłach, nie podjęli się tego, podjęli się zaś księża ze Zgromadzenia „Verbi divini“ i dotychczas duszpasterstwo nad Polakami sprawują. Z czasem wystawili tu Polacy dość ładny i obszerny kościół, do którego się chętnie gromadzą. Konfratrom zaś naszym coraz więcej narzucała się konieczność osiedlenia się w Kurytybie. Wreszcie w jesieni ubiegłego roku nabyli na własność piękny dom z obszernym placem budowlanym i ogrodem, gdzie od początku października rozpoczcli działalność. Na razie ogranicza się ona do redagowania gazety dla naszego polskiego ludu p. t. „Lud“, który wychodzi co tydzień a obecnie ma się do tego pisma przyłączyć miesięcznik religijny. Od końca kwietnia przyłączona została do tego domu praca duszpa-

sterska nad Polakami w kolonji Kandyda, położonej na północny wschód od miasta, dokąd jest godzina drogi kołowej, a dokąd w ostatnich czasach dojeżdżali misjonarze z Abranches. W przyszłości planowane jest w tym domu wychowanie młodzieży polskiej i praca w kościele, który może Misjonarze wybudują. Ognisko to Misjonarzy koło Kurytyby powiększa się obecnie coraz więcej. Młode pokolenie kolonistów, zwłaszcza z Thomas Coelho i sąsiednich kolonij, szukając nowych siedzib, poczęli wykupywać od obszarników brazylijskich ziemię na dalszym południowym zachodzie i wkrótce powstały dwa nowe wielkie skupienia kolonistów polskich Kontenda i Katanduwa, liczące razem około 500 rodzin. Od obszarników Thomas Coelho oddzielały je obszary kolonij, skupiających się koło Araukarji. Należały więc pod względem opieki duchownej z jednej strony do Araukarji, gdzie jest jeden polski kapłan świecki a z drugiej strony do daleko położonej miejscowości Lapa, gdzie jest ksiądz brazylijski. Przez pewien czas wyprawiali się do nich z pomocą duchowną Misjonarze z Orleans a potem z Thomas Coelho, przy których pomocy i radach wystawili w każdej z tych kolonji dość duże i ładne kościółki murowane. Kiedy obecnie zwiedzałem te kolonje, błagali mnie, abym im dał kapłana-misjonarza, któryby między nimi zamieszkał i nimi się zaopiekował. Po przedstawieniu tej sprawy ks. Biskupowi skłoniłem go do tego, że utworzył z tych dwóch kolonij osobny okręg duszpasterski jako parafję i oddał ją pod opiekę Misjonarzom. Siedziba nowej tej placówki jest w Katanduwie, gdzie osiadł jeden z Konfratrów.

Od tego skupienia Misjonarzy w pobliżu Kurytyby jest na południowy zachód w oddaleniu mniej więcej 250-300 kilometrów drugie ich skupienie, którego środowiskiem jest Rio Claro, a należą do niego Sao Matheus, Aqua Branca i Cruz Machado. — Rio Claro, to kolonja jedna z najdawniejszych, która różnemi linjami swemi rozciąga się na przestrzeni wzdłuż około 70 km. Nadto w ostatnich 15 latach powstała na obszarach więcej na zachód wielka kolonja

Vera Guarani, nad którą opiekę duszpasterską objęli także Misjonarze z Rio Claro. Kościół główny parafjalny jest w kolonji Rio Claro, a w Vera Guarani kaplica, do której Misjonarze dojeżdżają. Nadto na krańcach północnych kolonji Rio Claro w t. zw. kolonji św. Piotra była kaplica, do której dojeżdżali przynajmniej raz na miesiąc a obecnie wykończają ładny kościółek nieco dalej w Marchal Malet w skupieniu, które z powodu stacji kolejowej rozwinęło się w miasteczko. Tamta kaplica wobec wybudowania tego kościółka będzie zniesiona. — Z tym kompleksem kolonij sąsiaduje położony o 50 km. na wschód Sao Matheus, miasteczko z otaczającemi je kolonjami położone nad wielką arterją wodną, rzeką Iguassu. Po rzece tej kursują statki parowe, a S. Matheus jest jedną z przystani tych statków. Duszpasterstwo w tej kolonji ze siedzibą w samym Sao Matheus, gdzie jest ładny kościółek polski i kaplica brazylijska, objęli Misjonarze od sierpnia 1920 r. O 14 km. więcej na wschód połączona dobrą, jak na parańskie stosunki drogą, jest kolonja Aqua Branca, mająca w środku dość duży kościół, gdzie od lat już kilku jeden z naszych Konfratrów pracował. Obecnie z Konfratrem z S. Matheus stanowi jakby jeden dom i wspólnie z nim pracują nad obszarem kolonji, położonym więcej na południe, zwanym Antonio Olintho. Na zachód zaś od kompleksu kolonij Rio Claro poza linją kolejową, idącą ze stanu S. Paulo przez Ponta Grossę na południe przez Port Uniao do stanu S. Catharina i poza pasmem gór zw. Serra d'Esperanza rozciąga się jedna z nowszych kolonij, licząca około 12 lat istnienia, zwana Cruz Machado. Kolonja ta rozciąga się prawie równolegle do za górami i koleją położonej kolonji Rio Claro — na przestrzeni 100 km. z północy ku południowi aż do rzeki Iguassu a w głąb ku zachodowi przeciętnie 50 km. W środku nad rzeką S. Anna stoi kaplica główna, przy której w ostatnich czasach zamieszkiwał ksiądz Werbista. Nadto na dwóch krańcach północnym i południowym są także biedne, małe kapliczki. Nad tym obszarem kolonji na życzenie ks. Biskupa

i za staraniem polskiego ambasadora w Brazylji po ustąpieniu z tego stanowiska Werbistów objął na jesień zeszłego roku ze strony Zgromadzenia pieczę duchowną ks. Anicet Weiss. W ten sposób znów drugi wielki kompleks kolonij w środku Parany, rozciągający się na 100 km. wzdłuż i na przeszło tyleż km. w głąb, znalazł się znowu pod opieką duchowną naszych Konfratrów. (*c. d. n.*).

Ks. K. Słomiński.

Misja w Sao Matheus (Parana).

(Od 6 do 20 marca 1921 r.).

W czasie mego pobytu w Brazylji, dokąd się udałem z końcem roku 1920, aby wizytować domy Misjonarzy i Sióstr, należących do prowincji polskiej, wypadła misja w S. Matheus. Zapragnąłem skorzystać z tej okazji, aby popracować razem z konfratrami w tym pierwszem dziele naszego powołania. Spodziewałem się przytem poznać bliżej warunki, które w tej części prowincji naszej przy tej pracy uwzględnić trzeba.

Sao Matheus, to miasteczko i port nad główną arterją wodną parańską, rzeką Iguassu. Okolica tamtejsza należy do najbogatszych okolic Parany pod względem herwy. To też żegluga na rzece Iguassu, która się kręci po tych okolicach, jakby umyślnie chciała statki ponosić we wszystkie zakątki bogatych herwali, aby szczęśliwi zbieracze herwy wywozić ją łatwo mogli, ma dla tych okolic bardzo doniosłe znaczenie, a „port" to błogosławieństwo S. Mateusza, choć on bardzo prymitywnie wygląda. Sam Mateusz jest ośrodkiem kolonij, które należą do najbogatszych kolonij polskich. Od lat mniej więcej 30 sprawował tu nad Polakami duszpasterstwo kapłan, któremu jego bujna, wojownicza natura, nie pozwoliła nigdy zaznać pokoju. I do wszelkich rewolucyj parańskich go wmieszała i nawet duszpasterstwa nie pozwalała mu pojmować inaczej jak tylko jako walkę, nie tyle z szatanem, co z ludźmi, a przedewszystkiem z własnymi parafjanami.

To też, rzecz jasna, że parafja od dawna przedstawiała jedno wielkie pobojowisko, na którem leżeli pokonani przeciwnicy, bez życia nadprzyrodzonego. Uczęszczanie do Sakramentów świętych i do kościoła było oczywista dla wielu niemożliwe. Nasi Misjonarze nieraz już tutaj pracowali. Sam nieboszczyk ich czasem wzywał i czasem ksiądz biskup wysyłał. Praca jednak Misjonarzy nie przynosiła dostatecznych owoców, gdyż ks. proboszcz święcie przekonany, że tylko walka coś warta, starał się i do misjonarskiej pracy, o ile to tylko było możliwe, coś ze swego wojowniczego ducha dodać. Wreszcie zdecydował się ks. biskup zwolnić sfatygowanego już w walce staruszka z duszpasterstwa i oddał opiekę nad parafją naszemu Zgromadzeniu, w którego imieniu z dniem 1 sierpnia 1920 objął tu duszpasterstwo ks. Ździebło. Niedługo potem, bo w trzy tygodnie później, umarł dawny duszpasterz.

Należało pomyśleć o tem, by pracę nad duszami zacząć tu niejako od nowa, aby ogólnie zrozumiano i dowiedziano się w najdalszych zakątkach kolonji, że w S. Matheus w kościele przebywa Ten, który bezustannie woła: „Pójdźcie do mnie wszyscy“. Najlepiej się to zrobi przez misję, powiedział sobie nowy proboszcz w S. Matheus. Postanowiono więc misję od 6 do 20 marca r. 1921. Konfratrzy chętnie podali ks. Ździeble pomocną rękę. Ks. Piasecki Stanisław z Orleans objął przewodnictwo misji. Ks. Wróbel z pobliskiej Aqua Branca (14 km.) i ks. Gertner z Rio Claro (odległe o 48 km.) przyrzekli współdziałać, a wreszcie i podpisanego przyjęli do swej partji. Parafja ta należy do mniejszych; liczy około 500 rodzin polskich. Misja, oczywista, odprawiała się dla Polaków. Z powodu wielkich odległości, jakie koloniści w Paranie mają do przebycia, aby się do kościoła dostać, porządek misji musi się stosować do tych okoliczności. Rychło rano zaledwie kilkadziesiąt osób mogłoby się do kościoła stawić. To też misja zaczyna się dopiero o $8^1/_2$. Po modlitwach rannych jest pierwsze kazanie, suma i kazanie drugie. Po przerwie południowej Droga

krzyżowa, ewentualnie katechizacja, nauka trzecia, błogosławieństwo Najśw. Sakramentem, nauka czwarta, modlitwy wieczorne z rachunkiem sumienia i zakończenie, co trwa najdalej do godziny 6.

Jak zwykle, misja zaczęła się serją kobiet na sumie dnia 6 marca. Ja przybyłem do S. Matheus dopiero 8 marca rano statkiem. Zwiedzanie domów powstrzymało mnie tak, że dopiero 7 marca mogłem w towarzystwie ks. Kandory puścić się rano z Kurytyby koleją do Porto Amazonas, skąd popołudniu wyjechaliśmy statkiem rzeką Iguassu i po całonocnej jeździe zawinęliśmy do S. Matheus. Misja już była w toku. Niewiasty, jak to one, zawsze skorsze do P. Boga, zjeżdżały i schodziły się na misję licznie. Mężczyźni musieli niewiasty na misję zwozić chcąc nie chcąc, bo ostatecznie, choć to płeć słaba, ale ona rozkazuje. W piątek była wspólna Komunja św. i błogosławieństwo apostolskie. Kościół przepełniony. Komunij św. rozdano około 600. Długo poza południe przeciągnęło się końcowe nabożeństwo. Na następny dzień t. j. na sobotę zapowiedzieliśmy uroczystość błogosławienia dziatek i święcenie wody św. Wincentego. Rozkoszny i rozrzewniający był na drugi dzień widok. Kiedy z rana w promieniach grzejącego już mocno słońca na drogach wszystkich, prowadzących z kolonji do S. Matheus, pojawiać się poczęły fury a w nich matki z poubieranemi dzieciątkami — jakby wielkie kosze z kwiatami — które zwożono i wyładowywano naokoło kościoła. Kościół przepełnił się dziećmi, suma uroczysta wyszła, P. Jezus w monstrancji na ołtarzu zdawał się radośnie powtarzać: „Dopuście dziatkom przyjść do mnie". Po sumie krótka nauka — czemu te dziatki tu przywieść kazaliśmy, czemu i im należy się udział w szczęściu misji — a potem litanja do Matki Najśw., błogosławienie dziatek i wkładanie im cudownych medalików. Kiedy się widziało tę chwilę rozpromienienia uszczęśliwionych matek, których radość z misji teraz dopiero, zda się, była pełna, gdy widziały, że i na dziatki ich łaska misji spływa, chwili tej nie zapomni się nigdy. — W tym kraju

kwiatów, wśród ślicznych widoków okolicznych wzgórz, pokrytych bogato herwą, te czysto i ślicznie postrojone polskie dzieci, których w każdym polskim domu tak dużo, a które teraz P. Jezus do siebie tak przygarniał, o jak wysoko to wszystko nastrajało duszę! Potem krótka nauka o św. Wincentym, którego opiece oddaliśmy w modlitwie wspólnej całą parafję, objaśnienie znaczenia wody św. Wincentego i uroczyste jej poświęcenie. — Chciwie rozbierały matki wodę poświęconą i wraz ze swymi skarbami, dzieciętami, których znów każda miała pełną furę, wróciły w upale południowym radośnie do domów. Serja więc misji kobiet zadowolniła Misjonarzy, bo trudy ich i poty nie były daremne. Niewiasty, chciwe łaski Bożej, korzystały z misji gorliwie, a promieniejące z ich dusz po misji szczęście, mówiło, że P. Jezus dobrą ich wolę hojnie im wynagrodził.

W dzień następny, t. j. w niedzielę, mieliśmy zacząć serję mężczyzn. Baliśmy się, czy nam dopiszą. Wprawdzie liczyliśmy na to, że zapalone gorliwością niewiasty, którym apostolstwo względem mężczyzn kładliśmy na serce, nie spoczną, ale i one wśród mężczyzn misję odprawiać będą. Mimo to, z pewnym lękiem czekaliśmy początku ich serji. W niedzielę na sumie kościół, dość wielki, ogarnąć nie mógł zbiegłego do kościoła ludu. Mężczyzn było bardzo wiele. Kazania wstępnego wysłuchali z zapartym oddechem. W niewiastach, którym poleciliśmy, aby mężczyzn w domu przy gospodarstwie zastąpiły, by oni spokojnie misji oddać się mogli, znać było, że gotowe do wszelkich ofiar. Jakaż nasza radość w dniach następnych, gdyśmy od rychło rana oglądali, jak ze wszystkich stron wychylały się furmanki lub konni jeźdźcy. Na wozach niewiasty, najczęściej dziewczęta jako furmani; odwiózłszy ojców i braci do kościoła, wracały, jeśli miały blisko do domu, i pracowały zamiast swych braci przy gospodarstwie, pod wieczór zaś przyjeżdżały i zabierały ich z misji; które zaś z dalsza przyjechały, to opiekowały się końmi, by mężczyźni spokojnie mogli się

oddać misji. Mężczyzn na misji było jeszcze więcej niż niewiast. Jak obliczał proboszcz, niewielu tylko brakło. A młodzież, że się pilnie stawiała do kościoła i z przejęciem naszych nauk słuchała, jakże wielką nam była radością. Zgrzani i zmordowani wypadli tylko w czasie pauzy, jaką im daliśmy, aby obledz pobliskie studnie i ugasić nieco pragnienie, papierosem się pokrzepić, którego nawet czasem całego nie mogli wypalić i na głos dzwonka znów wracali do kościoła. Nad takiemi duszami, co przypominały nam owe rzesze, które trzy dni bez pokarmu trwając, słuchały chciwie Boskiego Mistrza, nie ciężko nam było, mimo strasznego upału, i do późnej godziny w konfesjonale pracować, nie ciężko było iść na ambonę, choć schodziło się z niej zalany strugami potu, co oczy zalewał, bo przeobfitą za trudy nagrodą była ta gotowość, z jaką zdawali się bezustannie misjonarzowi mówić „co chcesz, abym czynił". Jakże dobrze iść za wskazówkami naszego świętego Założyciela, który nam tak często przypominał, że ponieważ nad ludem prostym pracować mamy, tem potrzebniejsza nam cnota łagodności, bo nią tylko się serce zdobywa. A oni, niestety, tak byli tego serdecznego tonu kapłańskiego spragnieni. Nasycić się też tem słowem Bożem, wedle metody św. Wincentego im głoszonem, nie mogli. Jakże wielu, co choć dorośli już, a po raz pierwszy dopiero do konfesjonału zbliżyć się odważyli! Z jaką radością w piątek rozdzielaliśmy Komunję św., kiedy uroczyście wspólnie do stołu pańskiego przystępowali. Było ich przeszło 700. Jak roztopiony wosk, tak podatne były nam ich serca. Nawet do Bractwa Trzeźwości, do któregośmy ich zachęcili, wielu ochotnie się zapisało.

W sobotę była uroczystość św. Józefa. W sąsiedzkim kościele o 14 km. od S. Matheus, gdzie pracuje konfrater ks. Wróbel, przypadał odpust. Tam więc przenieśliśmy naszą pracę. W niedzielę zaś Palmową było w S. Matheus uroczyste zakończenie całej misji. Po poświęceniu palm i uroczystej sumie procesja *cum Sanctissimo* ze śpiewem litanji do Matki Najśw., potem kazanie o poświęceniu całej parafji

tej Opiekunce, która jest ucieczką grzeszników i uroczysty akt poświęcenia. Łzy płynęły z oczu tej rzeszy, co napełniała kościół i tych co go otaczali, bo dostać się do niego nie mogli. Słodkie to były łzy, jak nie straszny był im ten pot, który ich oblewał, bo tak słodko było tym duszom, gdy wyraźnie odczuwały, że z miłością przygarnęła ich do swego macierzyńskiego serca ta miłosierna Matka, której się w opiekę oddawali. Przypomnieliśmy im potem jeszcze krzyż misyjny, który, kiedyś przez naszych misjonarzy wystawiony, jeszcze na cmentarzu stoi — a nareszcie, że to był 20 marca, dzień plebiscytu na Śląsku, pomodliliśmy się na tę intencję.

Już była godzina druga, gdy ta kochana rzesza rozpromieniona i uszczęśliwiona błogim pokojem w duszach, rozjeżdżała się i rozchodziła z misji hen w dalekie lasy do swoich zagród. A my spoglądając za nimi i ciesząc się ich widokiem, jakoby tęsknotę odczuwać poczęliśmy w sobie. Tak pokochaliśmy ten lud, nad którym wiele wylaliśmy potu, a dla którego potu żal nie było. I tęsknotę poczynającą się w naszych duszach uspokajaliśmy, mówiąc sobie: Oni odtąd zawsze tak tłumnie zbiegać się tu będą, choć im tak daleko, bo zakosztowali, jak słodki jest ten Pan, co w tabernakulum na nich czekając, tak przekonywująco przez swych misjonarzy do nich przemówił: „Pójdźcie do mnie wszyscy“. O, tak jest, nasz lud, dzięki Bogu, tęskni do kościoła i garnie się tłumnie, byle go od niego nie odpychać.

Ks. K. Słomiński.

Zestawienie misyj, odprawionych od wiosny 1919 do kwietnia 1921.

Ponieważ Redakcja „Roczników“ zamierza znowu podawać systematycznie opisy misyj, odprawianych przez Misjonarzy prowincji polskiej, przeto, by pamięć nie zaginęła o pracach misyjnych z lat 1919 i 1920, podajemy suchy spis misyj, odprawionych w tych dwóch latach, na podstawie Księgi misyjnej, prowadzonej przez dyrektora misyj, którym obecnie od kwietnia 1919 r. jest ks. Odrobina:

Miejscowość	Diecezja	Czas trwania misji	Którzy Misjonarze pracowali?
		Rok 1919	
Żytniów	włocławska	26/IV—4/V	Szymbor, Bibrzycki, Lorek
Olesno	tarnowska	30/III—6/IV	Rossmann, Krzyszkowski, Dudziak
Danków	włocławska	7/IV—14/IV	Rossmann, Krzyszk. Dudziak
Poznań (ś. W.)	poznańska	29/III—6/IV	Wizytator, Witaszek, Graczyk
Wągrowiec	"	7/IV—11/IV	Bieniasz, Graczyk
Godzianów	warszawska	23/IV—28/IV	Tyczkowski, Petrzyk L.
Izdebnik	krakowska	11/V—18/V	Dudek, Odrobina, Dudziak
Kęty	"		" "
Dzierżenin	płocka	28/V—5/VI	Szymbor, Bibrzycki, Lorek
Biskupice	krakowska	pocz. czerwca	Dudek, Odrobina, Dudziak
Stoczek	podlaska	6/VI—14/VI	Szymbor, Bibrzycki, Lorek
Liw	"	14/VI—21/VI	" " "
Sadowne	"	22/VI—30/VI	" " "
Zegrze	płocka	15/VIII—23/VIII	" " Piasecki Ad.
Połaniec	sandomierska	16/VIII—24/VIII	Dudek, Dudziak
Poręba	płocka	28/VIII—7/IX	Szymbor, Bibrz., Piasecki Ad.
Wołkowyska	wileńska	wrzesień, przez cały miesiąc	Dudek, Odrobina
Porozy	"		
Hniezno	"		
Rajgród	łomżyńska	5/X—12/X	Bibrzycki, Piasecki Adam
Grajewo	"	13/X—20/X	" "
Zagórze	kielecka	11/X—20/X	Szymbor, Dudek, Odrobina, Dudziak
Ząbkowice	"	21/X—28/X	Odrobina, Dudziak
Wizna	łomżyńska	21/X—28/X	Bibrzycki, Piasecki Adam
Kościan	poznańska	4/XI—9/XI	Szymbor
Grodno (fara)	wileńska	16/XI—30/XI	Bibrzycki, Piasecki Ad.
" (u Bern.)	"	30/XI—11/XII	" "
" (u Bryg.)	"	11/XII—14/XII	Bibrzycki
Brzostowica W.	"	14/XII—20/XII	" "
		Rok 1920	
Piątek	włocławska	22/II—29/II	Witaszek, Bibrzycki, Piasecki
Łęczyca	"	29/II—7/III	" " "
Drozdowo	łomżyńska	10/III—17/III	" " "
Piątnica	"	18/III—25/III	" " "
Dobrzyjałowo	"	25/III—30/III	" " "
Przytuły	"	15/IV—21/IV	Bibrzycki, Piasecki Adam
Radziłowo	"	22/IV—29/IV	" "
Słucz	"	29/IV—5/V	" "
Romany	"	6/V—12/V	Bibrzycki
Praszka	włocławska	22/II—29/II	Odrobina, Dudziak, Swałtek
Pabjanice	"	2/III—7/III	" " "
Tczyca	kielecka	8/III—15/III	Odrobina
Chodów	"	15/III—22/III	"
Książ Mały	"	18/III—24/III	Dudziak, potem Odrobina
Słaboszów	"	25/III—31/III	Odrobina, Dudziak

Miejscowość	Diecezja	Czas trwania misji	Którzy Misjonarze pracowali?
Piotrowin n/W.	lubelska	18/IV – 25/IV	Odrobina, Dudziak
Kazimierz n/W.	"	25/IV—2/V	" "
Stawiska	łomżyńska	20/V—26/V	Odrobina, Bibrzycki, Dudziak
Wąsosz	"	27/V—6/VI	" " "
Rydzewo	"	9/VI—15/VI	" " "
Szczuczyn	"	17/VI—23/VI	" " "
Grabowo	"	24/VI—30/VI	" " "
Jedwabne	"	1/VII—7/VII	" " "
		Rok 1921	
Słupia	kielecka	13/II—21/II	Odrobina, Bibrzycki
Chełmce	sandomierska	22/II—2/III	" "
Sosnowiec	kielecka	4/III—9/III	" " Swałtek

Ponadto urządzili nasi Misjonarze w tych dwóch latach dwukrotną wyprawę misyjną na front wschodni do wojska polskiego. Mianowicie w adwencie r. 1919 księża: Dudek, Odrobina, Dudziak, na specjalne zaproszenie generała Konarzewskiego, udali się na front białoruski do Bobrujska i urządzili misję dla wojska polskiego. Misja ta opisana jest w Rocznikach francuskich (*Annales* 1920 str. 194). W listopadzie zaś roku 1920 księża: Odrobina, Brukwicki, Graczyk i Moska, urządzili rekolekcje dla piętnastej dywizji piechoty Wielkopolskiej na froncie bolszewickim w okolicy Rubieżewicz, gdzie znajdował się sztab tejże dywizji. Ponieważ Misjonarze musieli objechać 30 pozycyj, żeby każdej formacji coś się dostało, więc rozjechali się każdy w inną stronę i każdy musiał pracować na swoją rękę. Wycieczka ta misyjna udała się znakomicie. Wygłoszono około 100 nauk, bardzo wielu żołnierzy wyspowiadało się, zwłaszcza, że księża wojskowi i miejscowi ochoczo Misjonarzom pomagali, a także ludność cywilna coś nie coś skorzystała. Dowództwo tejże dywizji przysłało potem pismo, datowane dnia 2 grudnia 1920, a podpisane przez generała Junga, w którem wyraża wdzięczność Misjonarzom „że podjęli się trudu, by jeździć od jednej formacji do drugiej, głosić słowo Boże i leczyć rany, zadane niejednemu sercu

przez wichurę wojenną. Oficerowie i żołnierze mają w miłej pamięci kaznodziejów złotoustych, dzięki którym wracają do swych stron rodzinnych pocieszeni i pokrzepieni na duchu".

Misje, odprawione przez Księży Misjonarzy z Kleparza. Misja w Śniadowie (10—17 kwietnia 1921).

Pewnego zimowego wieczoru wszedł do mej ubogiej izdebki w Krakowie na Kleparzu chwilowy zastępca ks. Wizytatora, czcigodny ks. Lewandowski. Miał minę trochę zagadkową, trochę niby obiecującą, niby niezwykłą i bardziej jakąś zdecydowaną, ale, jak zwykle, pogodną pogodą błękitu i dalekich mórz, uśmiechniętą, i wreszcie taką, która już przed otworzeniem ust człowieka zniewala i wszystko odeń uzyskuje.

Ja, chociaż przeczuwałem, o co rzecz idzie, udawałem przecież, że się niczego nie domyślam i przybrałem minę taką, jaką ma klisza fotograficzna, włożona do aparatu i czekająca na błyskawiczne rozchylenie powiek migawki. Migawką w tym wypadku były usta ojca Lewandowskiego, które też niebawem rozchyliły się, a na mej twarzy wyraziło się, niby negatyw, zdziwienie, że mam zlikwidować dotychczasowe swoje zajęcie i oddać się pracy misyjnej, która, jak mówią, jest pierwszą w naszem maluczkiem Zgromadzeniu. Ten negatyw trochę nieszczerego zdziwienia trzeba było dopiero, nie tyle zapomocą promieni słonecznych, ile raczej za pomocą rozmaitych pobudek przyrodzonych i nadprzyrodzonych, odbić jako pozytyw zdecydowania się we woli. A trzeba przyznać, że ojciec Lewandowski jest mistrzem w sporządzaniu tego rodzaju pozytywów...

Wyszukałem więc w lamusie misyjnym stary i wypróbowany po dawnych przodkach pług, wyostrzyłem lemiesz, a plunąwszy w garść, i ująwszy silnie sochę, hukną-

łem już całkiem szczerze i z piorunowym zapałem: jazda na ugory!

Ks. Filip Bibrzycki, którego odtąd dla zaoszczędzenia papieru i mozołu przy korekcie ks. Redaktorowi stale będę nazywał ks. Filipem, ruszył w awangardzie naprzód. My, to jest dyrektor misji ks. Odrobina, i niby ja, dohaczywszy się doń jako luzak, wyjechaliśmy z Krakowa dopiero w 10 dni potem.

Był ranek, dzień 10 kwietnia. Z pułapu niebieskiego padały na nas cicho i z rzadka białe płatki śniegu, jak gdyby dla zachęty Aniołowie tam w niebie oskubywali białą różę i rzucali na nas jej śnieżnymi listkami.

W syrenim grodzie zabawiliśmy krótko. A jak niegdyś stary włóczęga Odys, chcąc ustrzedz swoich towarzyszów niedoli przed zgubnymi skutkami syrenich głosów, nakładł im do uszu jakiegoś kitu, tak teraz ks. Odrobina, chcąc uchronić, nie tyle siebie, ile mnie przed czarującym śpiewem syreny warszawskiej, uczynił podobnie. Łatwo mu to zresztą poszło, bo będąc głuchym na jedno ucho, potrzebował zalepić sobie już tylko drugie, a ze mną krótko się sprawił.

Jechaliśmy tedy w kierunku ku Łomży, do Śniadowa, gdzie najpierw zaryć się miały, w nieruszaną od niepamiętnych czasów glebę, wypoczęte nasze pługi. Już ciemno było. Noc zaległa najpierw dalekie, senne równiny, łąki i lasy, niby wąż, przeczołgała się cichą piersią poprzez srebrzystą taśmę Bugu i pędząc za nami, wskoczyła do pociągu. Cóż ją obchodzą surowe przepisy dyrekcji warszawskiej! Ona sobie wsiada i wysiada kiedy jej się podoba... Konduktor zapalał wprawdzie jedną zapałkę po drugiej, i w pocie czoła usiłował zatlić jakiś kaganek, ale noc zadmuchnęła także kaganek, a wkońcu zgasiła i światło naszych oczu, i niby kochająca matka, otuliła nas w miękkie czarne pledy i ukołysała nas do snu. Kiwaliśmy się tedy, niby żydzi na modlitwie, śniliśmy o gwiazdach, że kiwają się razem z nami, o księżycu, że biegnie za pociągiem

i prosi, żeby mu otworzyć okno..., ktoś czasem zcicha chrapnął, raz zdawało nam się, że pociąg przystanął na chwilę, rozległ się w ciszy nocnej głos konduktora: Ostrołęka! — wtenczas nam serca żywiej zabiły, a do rozespanych nawpół dusz wpadły nam z brzękiem całe roje wspomnień, coś niby dźwięki zwycięskich, powstańczych kos, ktoś tam na ostrołęckich polach wołał: „Kościuszko! Kościuszko!“ — — — a potem to wszystko razem z nami i z gwiazdami poczęło się znowu kiwać, księżyc biegł dalej za pociągiem... jechaliśmy i zbliżaliśmy się do celu, do Śniadowa.

W Śniadowie na stacji, oczekiwał nas ks. dziekan Kamiński. Księdza Odrobinę i mnie usadowił w wygodnym, paradnym wolancie, sam wsiadł w drugi, a nasze „cywilbagaże“ jechały za nami, niby tren, w osobnym pólkoszku. We drzwiach plebanji przywitano nas chlebem i solą. Mając po raz pierwszy do czynienia z taką ceremonją i to w nocy przy świetle księżyca, gwiazd i łojowych świec, nie wiedziałem kompletnie jak na nią zareagować. Atoli puszczyk, odzywający się gdzieś z wieży kościelnej, czy z pobliskiego cmentarza, dodał mi odwagi. Z pewną więc nonszalancją i z gestem, który trzymającym tacę z chlebem i solą mówić miał, (ale czy rzeczywiście powiedział, nie wiem), że to dla mnie nie nowina, ułamałem kawałek chleba i umoczywszy go w soli, włożyłem uroczyście do ust. Tymczasem ks. Odrobina, stojąc za mną i nademną, niby wiekowy, barczysty dąb, odgryzał sobie ze śmiechu język. Ale kiedy, po kolacji znaleźliśmy się obaj sam na sam, w przeznaczonym dla nas pokoju, odezwał się do mnie, zanosząc się jeszcze od śmiechu: Co też ksiądz zrobił! Trzeba było chleb i sól przeżegnać, i wymówić przytem słowa: „Oby nam nigdy nie zabrakło soli, ani tego, co nas boli...“, czy tam jakoś — —

No, ale stało się, albo raczej zjadło się!

Nazajutrz była niedziela. Dzień wstał śliczny, radosny i pełen ptasiego świegotu. Obudziliśmy się i wstaliśmy ze snu po kolei; najpierw ranne zorze, potem słońce, potem

ks. Odrobina, a potem ja. Przez okna uśmiechał się do nas cudny krajobraz, zamknięty naokoło ciemną wstęgą sosnowych borów. Punktualnie, razem ze świtem, zjawił się także ks. Filip, i we trzech jakoś nam się raźniej zrobiło. Wprawdzie mieliśmy pługi wzięte świeżo z kuźni od naprawy, wyostrzone lemiesze aż się prosiły w nieruszoną od niepamiętnych czasów glebę, a po kościach chodził nam wigor i zapał oraczy, mających się wiosną z pługami ku ugorom, niemniej jednak szeptaliśmy sobie: ciekawa rzecz, jak to będzie? Parafja bowiem miała sławę, czy niesławę „awanturniczej“, najstarsi nie słyszeli od najstarszych, czy były w niej kiedy misje, a na dobitek i wojna zrobiła swoje: niby przypływ gwałtownej fali zostawiła wiele namułu i nawpół zgniłych porostów. Samo miasteczko Śniadowo, liczące nieco więcej nad 400 mieszkańców, zostało w drugim roku wojny doszczętnie zburzone, a mieszkańcy wysiedleni. Ocalał tylko duży nowy kościół, ukończony w roku 1911 i stara plebanja, podobna raczej do arki przymierza między dawnymi a nowymi laty, aniżeli do plebanji w dzisiejszem znaczeniu tego słowa. Szkoda, że jej szlak, to jest chciałem powiedzieć granat, nie trafił, byłby bowiem wyświadczył wielką przysługę i ks. Dziekanowi i życzeniom parafjan. Jednak nie bez pewnej racji nazwałem ją arką, bo chociaż nie pływała ona po falach potopu i nie mieściła w sobie nigdy ze wszystkich zwierząt po parze, to jednak mieszkał w niej i mieszka dotąd ktoś, kto ma duszę niby pieśń, co, jak powiada poeta, jest arką przymierza między dawnymi a nowymi laty. Mianowicie mieszka w niej ks. dziekan Kamiński. Człowiek to, powiedziałbym, jeżeli nie zupełnie, to przynajmniej z pogranicza starej daty, głowę mu już ubieliły szrony, twarz ma pełną, rumianą i zdrową, trzyma się jeszcze prosto i krzepko, oczy rozumne, pełne łagodnego wyrazu i, rzekłbyś, uśmiechnięte, odbijają w sobie, niby głębokie stawy firmament i gwiazdy, tak one jego duszę — pieśń, która znowo, niby arka przymierza, przechowała w sobie tradycję lat dawnych, a przytem nie zatrzasnęła swego

wieka przed obyczajem nowych. Mając doświadczenie, powagę i mądrość człowieka starej daty, potrafi równocześnie czuć szczerze i głęboko nawet z najmłodszymi. *Gente Lithuanus, natione Polonus*, stoi na gruncie sprawiedliwej bezstronności i kocha, jak znowu mówi poeta, cały naród Niestety, mało dzisiaj takich. Niezmiernie szczery i prosty w obejściu, mając serce, jak to mówią, na dłoni, wszystkich też odrazu za serce chwyta. Nic więc dziwnego, że kochają go jak ojca parafjanie, że darzy go szacunkiem i zaufaniem okoliczne obywatelstwo, że grono nauczycielskie czuje się u niego na plebanji jak we własnym domu i że nawet żydzi potrzebują mieć do niego wielki sentyment. Opowiadał nam ks. Dziekan, że w czasie nawały bolszewickiej, kiedy po „cudzie nad Wisłą“, nastąpił odwrót na złamanie karku, dwie żydówki ocaliły mu życie. Zresztą czerwone aż do pąsu bolszewickie komisary, o charakterystycznych, haczykowatych nosach, szukając pilnie u parafjan za użalaniami na proboszcza, spotykali się ze samemi tylko pochwałami i z uwielbieniem.

Parafja liczy ogółem 4000 dusz, z których około 3000 się spowiada. Oprócz Śniadowa należą do niej 32 wioski. Niektóre z nich liczą zaledwie po pięciu gospodarzy. Z chwilą, kiedy zaczął w niej pracować ks. Dziekan Kamiński, sława jej, jako awanturniczej, poczęła zwolna gasnąć. Atoli od czasu do czasu, strzelały jeszcze z tej „sławy“, niby z roztopionej masy słonecznej, dosyć jaskrawe, a nawet ponure protuberancje. Oto zdarzył się wypadek, że nieprzyjaciel nasiał swemu nieprzyjacielowi nocą kąkolu do zboża. Niechaj nikt nie sądzi, że wyrażam się symbolicznie i że mam na myśli znaną przypowieść z Ewangelji, nie, to jest analogiczny do tej przypowieści autentyczny fakt, jaki się zdarzył w parafji Śniadowskiej. Co zrobił ów drugi nieprzyjaciel z kąkolem, kiedy zauważył, że powschodził, czy wyrwał go natychmiast, czy też zaczekał z powiązaniem go w snopy i ze spaleniem go na stosie aż do czasu żniwa, nie wiem. Niemniej jednak fakt pozostanie faktem. Zdarzyły się także

dwa morderstwa, a pomniejszych awantur i awanturek, nie pozbawionych często łajdackiego humoru, nie spisałbyś nietylko na jednej, ale na kilku wołowych skórach. Miał także ks. Dziekan w swej parafji 70 socjalistów, którzy następnie pod wpływem działania promieni bolszewickiego słońca przepoczwarczyli się w komunistów. Atoli zajął on wobec nich odrazu postawę tak zdecydowaną, powiedział im: „Po moim trupie, albo mnie śmierć, albo wam", że jej się przestraszyli, i powoli wypłowieli, to znaczy stali się znowu spokojnymi i porządnymi parafjanami.

Taką była gleba, którą mieliśmy zacząć orać.

Przed sumą, po ubranych w białe, jak śniegi, komże i w birety, przyszedł na plebanję ks. Dziekan w procesji z chorągwiami, feretronami i z baldachimem. Z wieży rozlegał się mały dzwonek sierota, nie wiadomo-li czy z radości żeśmy przybyli do Śniadowa, czy też z żalu i z tęsknoty za spiżowymi braćmi swymi, których mu ukradli i uwieźli, Prusacy. Ale mu za to z wiosennych pól wtórowały skowronki. Szliśmy więc z plebanji do kościoła pod baldachimem, pod którym, mówiąc nawiasem, było nam trochę niesamowicie, w otoczeniu dzieci szkolnych z nauczycielstwem na czele, dziewcząt w bieli i parafjan, którzy tłumnie, niby lawina z gór, zwalili się na misję. W kościele, przed ołtarzem, *Veni Creator*, krótka, serdeczna przemowa ks. Dziekana, włożenie nam stuł i zdanie obowiązku duszpasterskiego na misjonarzy, płacz obecnych, suma ze ślicznym śpiewem miejscowego chóru, a po sumie wstępna nauka którą wygłosił ks. dyr. Odrobina. Po nauce zapowiedział ks. Filip porządek misji. Wzięliśmy, jak zwykle, najpierw niewiasty. Bo znana to rzecz, że misjonarze mają w nich potem gorliwe, i jeżeli już nie wymowne, to przynajmniej uprzykrzone apostołki, które tak cierpliwie, niby komary, brzęczą nad uszami mężów i synów, aż ich w końcu wyżgają na misję. Misja się zaczęła i szła, dzięki Bogu, jaknajlepiej. Ludziska nas pokochali, a my ich, na plebanji byliśmy jak u siebie, słowem, z pomocą Bożą, dobrze nam

się pracowało. Wprawdzie pot ciurkał z nas obficie, nieraz wlazł i oset do palca, ot, jak bywa zwyczajnie przy żniwie, ale takich zadziorów, które trzebaby wywabiać z pod, nie baczę już którego żebra, niby staremu Maćkowi z Bogdańca, aż świeżem niedźwiedziem sadłem, nie było.

Ponieważ księża proboszczowie postarali się już przed naszem przybyciem o dwa przynajmniej dni wolne dla dzieci szkolnych, więc urządzaliśmy dla nich, na każdej misji spowiedź świętą na samym zaraz początku, żeby nam później w ciągu pracy nie przeszkadzały. Dla dziewcząt przed serją niewiast, a dla chłopców przed serją mężczyzn. Na drugi dzień, o godzinie 9-ej, bywała dla nich Msza św., na której przystępowały do Komunji świętej, wysłuchawszy poprzednio stosownej nauki. Ale i tak zdarzało się nieraz, że chłopcy, zasłyszawszy kazania o spowiedzi generalnej, wracali się jeszcze, prosząc, czyby i oni nie mogli także odprawić spowiedzi „mineralnej". Generalna a mineralna, wszystko to u nich jedno. Dzieci było do spowiedzi świętej ogółem 372, to znaczy 186 dziewcząt i tyleż chłopców. Oprócz dzieci wyspowiadało się jeszcze 2800 dusz, a Komunji świętej rozdaliśmy 11.000. Wyspowiadali się wszyscy, a to dzięki temu, że zarówno okoliczni księża, jak i księża profesorowie z seminarjum duchownego, z pobliskiej Łomży, spieszyli nam chętnie z pomocą.

Szczególne wrażenie zrobiło na uczestnikach misji oddanie parafji w opiekę Najśw. Marji Pannie. Urządza się to zwykle, jak można, najuroczyściej. Jest suma, po sumie kazanie o Matce Najśw., a następnie uroczysta procesja *cum Sanctissimo*, znowu przy udziale wszystkich bractw, dzieci szkolnych *in gremio* z nauczycielstwem na czele; nieraz do stu i więcej dziewcząt w bieli, trzymając girlandę, otacza celebransa, niosącego Najśw. Sakrament, zaś mężczyźni, idąc zwarcie ramię przy ramieniu, i trzymając się pod ręce, opasują wspólnymi łańcuchy, nie ziemskie kolisko wprawdzie, ale Tego, który to kolisko stworzył, to jest Boga utajonego w Najśw. Sakramencie. A trzeba widzieć, jakie to wszystko

wystrojone, prawie mniemałbyś, żeś jest w mieście, a nie na wsi. Lud w Łomżyńskiem zasobny i bogaty. W czasie procesji śpiewa się litanję do Matki Najśw.

W Śniadowie, kiedy już procesja weszła do kościoła, a monstrancja znalazła się z powrotem na ołtarzu, zasnuta obłoczkami wonnego dymu z kadzielnic, po skończeniu Kyrie, a przed zaczęciem „Pod Twoją obronę“ odczytał ks. Filip donośnym głosem akt ofiarowania, wtenczas jeden przeciągły szloch ozwał się w kościele, a kiedy tenże ks. Filip skończywszy czytać akt, zaintonował jeszcze głośniej „Pod Twoją Obronę“, wtenczas kilka tysięcy głosów runęło niby spiętrzona fala, na podaną im melodję i, wraz z treścią prześlicznej antyfony, poniosły ją aż hen, przed tron Bożej Rodzicielki. Doprawdy, że wtenczas trudno jest nie płakać! Nie można także powstrzymać się od łez w chwili, kiedy na zakończenie misji, w czasie procesji z krzyżem, olbrzymi dębowy krzyż, znalazłszy się na silnych ramionach mrowia mężczyzn i młodzieńców, podczas gdy wszystek lud śpiewa, niby rozkołysana fala śpiżu, „Krzyżu święty nadewszystko“, krzyż ten poczyna zwolna płynąć. Prawie rzekłbyś, że krzyż żyje, chciałbyś się nań rzucić, całować go i szlochać. Prawdziwy to krzyż grzeszników, wyrosły z tysięcy dusz, których grzechy, tajone od lat zbrodnie i zastarzałe nałogi, poprzyczepiały się doń w kształcie sęków.

Nie będę już opisywał tego, co się dzieje w czasie ostatniej pożegnalnej nauki, że mianowicie słów misjonarza prawie nie słychać z powodu płaczu i szlochań, że w końcu i jego samego poczyna coś brać za gardło, że zszedłszy z ambony, zanim dojdzie do presbiterjum, czuje się prawie, niby jakaś kosztowna relikwja, rozerwanym na kawałki, że ks. proboszcz, dziękując misjonarzom, zamiast mówić, płacze, że trudno potem wydostać się z kościoła, i t. d., i t. d. Ach, jakże wtenczas misjonarz czuje się zawstydzonym, upokorzonym, i jakże powtarza z głębi duszy: „*Non mihi Domine, non mihi, sed nomini tuo, da gloriam*“.

Skutki misji w Śniadowie były, dzięki łasce Bożej,

ogromne, Jednali się z sobą poważnieni, od lat zawistni nieprzyjaciele, zwracano sobie trzymaną nieprawnie w posiadaniu ziemię, inwentarz i inne rzeczy, które w czasie najazdu bolszewickiego, przy nieobecności ich właścicieli, stały się, w mniemaniu pozostałej reszty, *res nullius*. Dwóch tylko braci nie chciało się pogodzić, woleli oni raczej nie przystąpić do Komunji Świętej, aniżeli przebaczyć sobie i darować. Później dopiero, w jakiś czas po misji, pogodzili się. Doniósł nam o tem ks. Dziekan.

W tejże parafji żyły ze sobą w śmiertelnej i nieprzejednanej nienawiści dwie sąsiadki. Jedna wraz z mężem swoim zatłukła w polu na śmierć łopatami męża drugiej, gdy tenże przesuwał kamienie graniczne, czy coś podobnego. Nienawiść trwała już kilka lat, sprawcy zabójstwa chcieli się pogodzić, ale wdowa po zamordowanym ani słyszeć o tem nie chciała, ściągając na głowy i na dusze zabójców tyle przekleństw, że te zdolne były przysypać grubą warstwą nie tylko ich głowy i dusze, ale cały świat. Obie nieprzyjaciółki były obecne w kościele na kazaniu ks. Filipa o darowaniu uraz. Wszystkie kobiety usiłowały je pogodzić, bo i ks. Dziekanowi i całej parafji bardzo na tem zależało, ale ani rusz. Współzabójczyni robiła, co było w jej mocy, chciała tamtę drugą uściskać, ucałować, klękała przed nią: „Sąsiadko droga — mówiła — przebaczcież mi, przecież i Pan Bóg mi przebaczył", płakała, wszystko na nic! A kiedy koło nich zaczęło się gromadzić coraz więcej kobiet i wszczął się prawie mały tumult w kościele, wtenczas ks. Filip skinął z ambony na drugiego misjonarza, żeby ją wziął do zakrystji i tam jeszcze próbował do jej serca twardego przemówić. Zaczął więc do nich misjonarz w zakrystji przemawiać na wszystkie sposoby, jakie tylko znał: prosił, błagał, zaklinał, groził, wskazywał na ukrzyżowanego Zbawiciela, nic nie pomogło! Żona zabitego męża przycupnęła z jakąś fatalistyczną rezygnacją w twarzy na posadzce zakrystji, i załamawszy ręce, a następnie wyciągnąwszy je ku ukrzyżowanemu Zbawicielowi, który wisiał na ścianie w zakrystji, zawołała,

albo raczej zawyła w jakimś histerycznem uniesieniu, ale to tak, że aż dreszcz zgrozy poszedł po skórze misjonarza: „Niech mnie potępi, niech będę w piekle, nie przebaczę! nie przebaczę!! jeszcze dzisiaj słyszę jej głos, jak wołała, kiedy jej mąż walił mego męża łopatą po skrwawionej głowie, jeszcze dzisiaj słyszę jej głos, jak wołała: zabij! zabij!— nie przebaczę! o Jezu, nie przebaczę! niech będę potępiona“..., reszta słów uwięzła jej w gardle i załamała się w jakiejś strasznej czkawce, od której biedny misjonarz sam o mało nie postradał zmysłów. Trzeba było czekać, aż się uspokoi. Jakoż po chwili, zaczyna misjonarz przemawiać na nowo. Przywodzi jej na pamięć mękę i okrutną śmierć niewinnego Zbawcy, który jeszcze modlił się do Ojca za oprawców swoich, że ona przez swoją nienawiść przedłuża męki czyścowe męża, że przebaczając, sprawi mu największą radość, „opamiętajże się kobieto nieszczęsna, na zbawienie duszy twego męża i twojej własnej cię proszę, błagam cię, zaklinam...“. Nic! — Wtem sąsiadka jej klęka przed nią jeszcze raz, wyciąga do niej ręce i woła z płaczem: „Sąsiadko kochana, przebaczcież mi, proszę was na rany tego Chrystusa, który umarł i za mnie i za was!“; misjonarz przybliża równocześnie tamtej drugiej do ust mały krzyżyk misyjny i oto naraz dzieje się rzecz niespodziewana! Zapamiętałej kobiecie wysychają nagle łzy w oczach, podnosi się, patrzy, jak gdyby nagle ocknęła się ze snu, całuje krzyżyk i mówi do misjonarza: „Ja jej przebaczę, ale mówić do niej nie będę mogła, bo mnie tak serce boli, tak boli, jak na nią spojrzę...“ „Nie chodzi o to, — mówi do niej uradowany misjonarz — żebyś do niej mówiła, na razie tylko jej przebacz, a później będzie to, co Bóg da. Zaś na znak, że jej przebaczasz, uściśnijcie się i ucałujcie“. Pocałowały się. Reszty dokonała łaska Boża w spowiedzi świętej. Na pamiątkę dał misjonarz biednej kobiecie ładny krzyżyk ze wszystkimi możliwymi odpustami, tak, że wróciła do domu, jak się zdawało, z inną zupełnie duszą.

I znowu, w takim wypadku, ma misjonarz sposobność

podziwiać przedziwną moc łaski Bożej, a swoją kompletną bezradność i nicość. To znaczy swojej bezradności i nicości nie ma co podziwiać, jeno ją pokornie uznać.

Najwięcej męczy misjonarzy odjazd. Napróżno tłomaczy się ludziom, że mamy jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia, że odjeżdżamy dopiero za kilka godzin, że szkoda czasu, niechże wracają do domu do zajęć. Nic nie pomaga. Leżą, siedzą, stoją, gwarzą z sobą wokół plebanji i na cmentarzu, jedzą to, co kto z sobą przyniósł, czekają. Zaraz w Śniadowie tak było. Cały plac przed plebanją wyglądał tak, jak wyglądać musiało owo miejsce na puszczy, na którem Pan Jezus nakarmił chlebem tysiące zgłodniałego ludu. Nareszcie zajeżdżają po nas powozy miejscowego dziedzica, umajone, ugałęzione, poobwijane girlandami, tak że mimowoli przychodzi misjonarzom do głowy śmieszna myśl, iż w tyle zieleni, jak oni obecnie, podróżował chyba tylko starożytny Bakchus. No, ale razem z tą śmieszną myślą, z tobołkami i walizami wychodzimy i usiłujemy siąść do powozów. Ani rusz! Nie można się przedrzeć! W końcu, po długiem szamotaniu, udaje nam się to. Ruszamy ze wszystkich kopyt i kół! W tej chwili lunął na nas tak rzęsisty deszcz liści, gałązek i gałęzi, że mnie spadł odrazu kapelusz z głowy, ks. Odrobina krzyknął przerażony: „Dla Boga, co się to dzieje!", a ks. Filip, wraz z jakąś gałęzią, dostał i metalowym krzyżykiem w głowę. Na szczęście obyło się bez rany i krwi. Jedziemy, uciekamy! Przed nami cwałuje rozpaczliwym galopem banderja, tem szczególna, że ma konie z rozmaitych okresów wojny światowej, z rozmaitych pułków, rozmaitej wielkości, maści, tuszy, starości i t. d., cwałuje tak zapamiętale, jak gdyby widziała przed sobą oddział uciekających bolszewików, a za nami znowu, na przełaj, poprzez ogrody i płoty, pędzą ludzie, powiewając chustkami, machając gałęziami i krzycząc: „Do widzenia!" A my nic, jeno jedziemy. Wkrótce straciliśmy z oczu Śniadowo i odetchnęliśmy swobodniej, bo cały ten harmider, wraz z szczekaniem i skowytem śniadowskich psów, które nie

wiedzieć dlaczego szczekały, czy z radości, że już odjeżdżamy, czy też z żalu, że już nas więcej nie ujrzą i nie będą miały na kogo szczekać, — dość, że to wszystko przyprawiło nas o pewien rodzaj odurzenia. Za chwilę zarysowała się na horyzoncie wieża kościoła w Szczepankowie, dokąd właśnie spieszyliśmy.

Rozpisałem się o tej pierwszej misji szeroko, może nawet za szeroko, to prawda, ale uczyniłem to dlatego, że następne misje, których było w tej serji jeszcze 7, będą w swoich wstępach i konkluzjach, oraz w całej ilości dekoratywnych szczegółów i momentów, do tej pierwszej podobne. Żeby się więc nie powtarzać, opisałem je zaraz na wstępie, bo, bądź co bądź, stanowią one jakgdyby pewną oprawę misji, a przy opisie następnych będę notował, dali Bóg doczekać, krótko i zwięźle same tylko ważniejsze wydarzenia.

Ks. Sylwester Graczyk.

KRONIKA.

Paryż. — Pierwszy obchód święta błog. Ludwiki de Marillac. Dnia 15 marca 1921 obchodzono po raz pierwszy święto błog. Ludwiki de Marillac. W domu macierzystym Sióstr Miłosierdzia w Paryżu przy »rue du Bac« odprawił pierwszą mszę św. Najczcigodniejszy O. Generał, podczas której cztery młode Siostry składały śluby święte. Seminarzystki, które zazwyczaj zajmują dolną część kaplicy, ustąpiły swego miejsca Najczcigodniejszej Matce Generalnej, Siostrom urzędniczkom i kilku osobom uprzywilejowanym.

U św. Łazarza mszę św. odprawił ks. Bogaert przy nowym ołtarzu błog. Ludwiki de Marillac. Ołtarz ten, będący darem Najczcigodniejszej Matki Emilji Maurice, znajduje się po stronie epistoły pod pierwszym witrażem, między ołtarzem św. Józefa a ołtarzem św. Piotra, tam gdzie dawniej były ławki dla braci, słuchających mszy św., odprawianej przy św. Józefie. Ołtarz podtrzymują dwie piękne kolumny, nad ołtarzem wznosi się figura błogosławionej; lichtarze, artystycznie rzeźbione, ozdabiają tło ołtarza.

W kaplicy przy »rue du Bac«, gdzie odprawia się główna uroczystość, ks. Bettembourg śpiewa sumę, w której udział bierze cały dom św. Łazarza. Wieczorem obydwie rodziny św. Wincentego gromadzą się jeszcze raz przy trumnie błogosławionej, by wysłuchać panegiryku, wygłoszonego ku jej czci. (*Annales*, 1921, str. 87).

Ks. Planson, subdyrektorem Sióstr Miłosierdzia. Dnia 1 listopada 1920 wystosował O. Generał do Sióstr Miłosierdzia okólnik. Wylicza w nim zasługi, jakie położył czcigodny ks. Meugniot w ciągu swej 20-letniej działalności na stanowisku dyrektora Sióstr Miłosierdzia.

Trzej przełożeni generalni Księży Misjonarzy: Fiat, Villet i obecny O. Generał, korzystali z jego światłych rad, z jego bogatego doświadczenia i fachowej wiedzy. Za te

wszystkie usługi, jakie przez taki długi czas świadczył Zgromadzeniu Sióstr Miłosierdzia i najwyższym przełożonym Księży Misjonarzy, wyraża mu O. Generał w imieniu obydwóch Zgromadzeń najgłębszą wdzięczność. Ponieważ atoli spracowany robotnik w winnicy Pańskiej potrzebuje nie tyle wypoczynku, lecz raczej wytchnienia i pomocy, przeto O. Generał przydaje mu do boku subdyrektora w osobie jednego z asystentów Zgromadzenia, ks. Planson. Ks. Meugniot pozostaje nadal Dyrektorem Sióstr Miłosierdzia, ale wszystkie trudy i prace, związane z tak odpowiedzialnym urzędem, dzielić odtąd będzie ze swym subdyrektorem, do którego wszystkie Siostry mogą zwracać się ze swojemi sprawami, czy z prośbą o poradę, o rozwiązanie trudności, a nawet o potrzebne pozwolenia. Przy tej sposobności warto zaznaczyć, że pierwszym dyrektorem Sióstr Miłosierdzia był ks. Antoni Portail, mianowany w r. 1655, a wszystkich dyrektorów było dotąd 41. (*Annales*, 1921, str. 22)

Kraków — Kleparz. Sprawozdanie z działalności 1914 — 1919 roku*). Ostatnie wiadomości o działalności księży domu kleparskiego są podane w Roczniku II-gim z roku 1914, właściwie jednak jest to przedstawienie czynności, związanych z naszem powołaniem za rok 1913. W pierwszych dniach stycznia 1914 zaszedł dla domu kleparskiego ważny fakt, a przytem dla całego domu bolesny, gdyż wyżsi przełożeni na życzenie Najprzewielebniejszego księcia Biskupa Sapiehy przeznaczyli dotychczasowego ks. Superjora Czesława Lewandowskiego, piastującego tę godność od roku 1903, na urząd Ojca duchownego w Seminarjum diecezjalnem w Krakowie. Jako następca na urząd przełożonego domu kleparskiego został zamianowany ks. Antoni Weiss, dotychczasowy prokurator prowincjonalny; należeli podówczas do domu kleparskiego: ks. Wdzięczny, ks. Dudek, ks. Król Hugo, ks. Sobawa, ks. Odrobina, ks. Szymbor, ks. Gintrowski, ks. Marzotko, ks. Malik, oraz dziś już w Bogu spoczywający śp. księża: Kiedrowski, Domaradzki, Konieczny Jakób, Sosnowski i Pawłowski. Prace złączone z domem kleparskim rozwijały się z pomocą bożą pomyślnie: przy szpitalu św. Łazarza i Ludwika byli podówczas zajęci

*) Różne okoliczności sprawiły, że sprawozdanie powyższe redakcja umieszcza dopiero teraz, aczkolwiek chronologicznie jest ono wcześniejsze od kroniki, zamieszczonej w Rocznikach r. 1921 str. 51.

jako kapelani księża: Gintrowski i Malik, w zakładzie imienia Helclów sprawował urząd kapelana ks. Dudek a nadto przewodniczył on rekolekcjom ludowym w naszym kościele kleparskim oraz według potrzeby przewodniczył rekolekcjom jużto w Tarnowie lub Nowej Wsi. Na misje wyjeżdżali ks. Szymbor i Odrobina oraz śp. ks. Jakób Konieczny. Lekcyj na Stradomiu udzielali księża: Król Hugo i Marzotko, a w szkołach w mieście śp. ks. Pawłowski. Śp. ks. Sosnowski z całem zamiłowaniem poświęcał się dziełu św. Dziecięctwa P. Jezusa a ks. Sobawa miał powierzony sobie urząd prokuratora domu. Wszyscy też księża konfratrzy poza poszczególnymi obowiązkami oddawali się pracy w kościele naszym a tam nigdy pola do pracy nie brakło. W lipcu tego roku przybył do domu kleparskiego ks. Graczyk i objął zaraz kapelanję w Zakładzie imienia Helclów, ponieważ zaś w tym czasie ks. Malik wyjechał do Ameryki Południowej, więc opróżnioną po nim kapelanję u św. Łazarza objął ks. Dudek.

Wybuchła wojna światowa, ogłoszona została mobilizacja, a nazajutrz po jej ogłoszeniu i w dniach następnych mógł każdy zauważyć, jak tysiące młodych i w sile wieku mężczyzn przez wszystkie rogatki z bliskich wiosek i dalekich gór jak fala płyną do miasta i przepełniają koszary, ulice i place publiczne miasta naszego. Nasz kościół, jużto wskutek swej bliskości koszar przy ul. Warszawskiej i Montelupich, już też wskutek swej chwalebnej tradycji, osiągniętej przez rekolekcje ludowe, misje i gorliwość apostolską zmarłych naszych Ojców poprzedników, stał się dla wielu tych biedaków powołanych pod broń ostatnią ucieczką. Garnęli się tłumnie do konfesjonału rano i wieczór, zwłaszcza z początku przez pewien czas, dopóki regulamin koszarowy nie wszedł w życie. Spowiadaliśmy do 10-tej, 11-tej a raz nawet do 12 w nocy i odtąd aż do samego końca wojny mieliśmy ten rodzaj pracy w naszym kościele. Zachodziły też przytem często wypadki, gdzie poczciwi ci nasi żołnierze nie mogli w ciągu dnia opuścić koszar, więc gdzieś po 6-tej wieczorem ukradkiem usunął się żołnierz z gwaru koszarowego, wpadł do kościoła, wyspowiadał się i prosił o komunję św. gdyż cały dzień przepędził naczczo, aby tylko połączyć się z P. Jezusem i przygotować się na drogę do wieczności, to znów można było zauważyć, jak żołnierz, idący na kolej w rynsztunku zupełnym, uprasza u swego dowódcy, aby mógł wstąpić do kościoła i przyjąć komunję św., po kilku minutach gorącego dziękczynienia biedak opuszcza ze łzami w oczach

kościółek, aby podążyć za swą kompanją; były wypadki, że o 3-ciej godzinie rano dzwonili ci pobożni ludzie do naszej furty z prośbą, aby im udzielić komunji św., bo już za kilka chwil opuszczają Kraków i może to jest ich ostatnia komunja św. Liczne te i tym podobne wypadki były prawdziwem dla nas zbudowaniem a zarazem widocznem było, ile to niebo ma chwały z tych biedaków i ile to P. Jezus ma pociechy z tych serc prostych, skruszonych i tak go miłujących!

W miarę jak walki zaczęły się rozgrywać między armjami nieprzyjacielskiemi, Kraków przeobrażał się we wielki szpital; z dnia na dzień długie pociągi przywożą coraz to nowe ofiary krwawego potopu. Najprzewielebniejszy książę Biskup Sapieha organizuje opiekę duchowną nad nieszczęśliwymi ofiarami wojny a ponieważ w pobliżu naszego domu kleparskiego powstało kilka szpitali, przeto objęliśmy opiekę nad nimi. I tak pełniliśmy obowiązki duchowne w szpitalu 1) urządzonym w naszym domu po drugiej stronie kościoła (str. ewangelji), 2) w szpitalu w Domu Centralnym Sióstr Miłosierdzia, 3) w Zakładzie św. Stanisława, 4) w szkole Zbigniewa Oleśnickiego przy rynku kleparskim, 5) w szkole Krasickiego, 6) w Akademji Sztuk Pięknych przy placu Matejki, 7) w Zakładzie św. Rodziny na Pędzichowie, 8) w klasztorze PP. Wizytek. Najtrudniejszym jednak był posterunek na stacji (vis-a-vis koszar dawniej Arcyksięcia Rudolfa a obecnie króla Jana Sobieskiego). Do tejże bowiem stacji zbornej wszystkie pociągi z chorymi przybywały na następnie stamtąd chorych rozsyłano po szpitalach krakowskich, tam rekonwalescenci ze szpitali krakowskich zbierali się, aby wyruszyć dalej do szpitali w Czechach i Austrji. Otóż zadaniem naszem było, aby każdy pociąg nowoprzybyły zbadać, czy niema w nim żołnierzy umierających, dla których ostatnia chwila się już zbliża i dlatego dyżury utrzymywaliśmy tamże przez całą dobę; zwykle co 6 godzin zmienialiśmy się. Z początku przez dwa miesiące nie było tam nawet małego pokoiku przeznaczonego dla księdza, tylko jak była chwila wolna w nocy przesiedziało się na krzesełku na sali chorych, jednak P. Bóg ustrzegł wszystkich tam pracujących od jakiejkolwiek choroby zakaźnej, choć wszystkie rodzaje chorób były tam reprezentowane i dręczyły swe nieszczęśliwe ofiary. Dla chorych i personalu pielęgniarskiego odprawialiśmy też tam msze św. w każdą niedzielę i święto. Miał wtedy każdy z nas szerokie pole do pracy, przedewszystkiem było to

wdzięczne pole dla śp. ks. Domaradzkiego, który obchodził nie tylko szpitale, powierzone pieczy naszego domu, lecz i inne szpitale krakowskie z walizką w ręku i rozdawał chorym żołnierzom medaliki, krzyżyki, książeczki do nabożeństwa, przygotowywał chorych na śmierć, zachęcając ich choć w krótkich przemówieniach do żalu za grzechy i nauczając ich o ważności odpustów na godzinę śmierci. Jednej jednak pracy tak umiłowanej przez poprzedników naszych nie mogliśmy się od pierwszego roku wojny oddawać, tj. rekolekcjom ludowym, z powodu, że lokal przeznaczony dla tego rodzaju gości, zajęła wojskowość.

Co do personału domu kleparskiego należy zaznaczyć, że w pierwszych dniach wojny przybył jeszcze z Białego Kamienia ks. Leśniowski, aby się stawić w swej komendzie; jednak wskutek szybkiego pochodu Rosjan na Lwów, nie mógł wrócić do Białego Kamienia, pozostał więc na Kleparzu i gorliwie tu pracował.

W roku 1915 i w następnych spełnialiśmy dzieła, związane z domem naszym kleparskim oraz te, o których wyżej była wzmianka, jako wynikające z wojny i jej następstw. Poniósł też nasz dom w tym roku stratę przez śmierć śp. czcigodnego starca Brata Rafała (Jana Łężnego), który przeniósł się do wieczności 15 stycznia.

W roku 1916 przybyli na stały pobyt na Kleparz ks. Ździebło (w styczniu), ks. Janiewski i ks. Niesłony (we wrześniu) i ks. Bibrzycki w październiku). Ciosem wielkim dla domu była śmierć nieodżałowanego pracownika w kościele Chrystusowym śp. ks. Jakóba Koniecznego, którego w dzień św. Wincentego 19 lipca rano po medytacji zastaliśmy leżącego na podłodze w pokoju, paraliżem tkniętego, a umarł 23 lipca w niedzielę, kiedy obchodziliśmy w kościele naszym odpust św. Wincentego, a pochowany został w dzień swego św. Patrona 25 lipca. Wielką a przykrą bardzo niespodzianką było dla naszego domu wezwanie rządu niemieckiego, ażeby księża nasi stawili się do służby wojskowej. Na mocy tego dekretu musieli się udać do wojska z domu kleparskiego księża Sobawa, Odrobina, Szymbor, Ździebło (w listopadzie), a później jeszcze księża Bibrzycki i Niesłony. W tymże roku 1916 kościół nasz otrzymał nowy organ, wystawiony przez firmę Rieger z Karwiny kosztem 13.000 koron austrjackich. Firma ta, mająca w tym kierunku sławę europejską, zasłużyła sobie odnośnie do organu w naszym kościele na zupełne nasze uznanie; nie małe również położył zasługi ks.

Odrobina, który najlepsze i najodpowiedniejsze głosy z organów w kościołach krakowskich zestawił i podał firmie, aby we wykonaniu powierzonego sobie zadania na to zwróciła uwagę, i rzeczywiście, prawie w zupełności projekt ks. Odrobiny przyjęła. Poświęcenia organu dokonał Przewielebny ksiądz Wizytator w niedzielę zapustną (5 marca).

W roku 1917 odnośnie do personału domu zaszły te wypadki, iż do pomocy przybyli przy końcu lipca księża: Witaszek, Petrzyk, Feicht i Hładki. Dwaj ostatni pozostali jednak na Kleparzu tylko półtora miesiąca, ks. Witaszek do stycznia r. 1918 a tylko ks. Tadeusz Petrzyk zagościł na stałe, bo aż dotychczas tu przebywa. W miesiącu wrześniu zawitał na Kleparz dotychczasowy Superjor domu tarnowskiego ks. Tyczkowski w charakterze przewodnika mającej niebawem nastąpić wyprawy misjonarskiej do św. Krzyża we Warszawie, która jednak się opóźniła z powodu różnych trudności i aż dopiero roku następnego 1918 dnia 23 stycznia wyruszyli na objęcie tej najstarszej placówki misjonarskiej w Polsce księża: Tyczkowski i Witaszek oraz brat Stanisław (Józef Fedzin), a z Nowej Wsi ks. Leopold Petrzyk. W tymże roku 1918 zaszły jeszcze te zmiany, że dotychczasowi księża kapelani w szpitalu św. Łazarza zostali na inne stanowiska przeniesieni, mianowicie ks. Gintrowski został przeniesiony do Tarnowa a na jego miejsce przybył z Tarnowa ks. Lach (w miesiącu kwietniu), ks. Dudek zaś wyjechał w ostatnich dniach maja do św. Krzyża w Warszawie, a na jego miejsce w szpitalu przybył w lipcu ks. Linkert z Milatyna. Pomagał też w pracy przez trzy miesiące ks. Feicht (od 1 czerwca do 9 września, na stałe zaś przybył do pomocy ks. Wojtaszak ze Stradomia (11 września) oraz ks. Truszkowski z Olczy (w grudniu).

Zaznaczyć też trzeba, że rok ten 1918 był bardzo bolesny dla całej naszej prowincji, a dla domu kleparskiego w szczególności, gdyż śmierć nieubłagana zabrała aż cztery ofiary z tego domu. I tak dnia 10 lutego pożegnał ten świat nasz czcigodny Ojciec śp. ks. Kiedrowski, 14 maja umarł w 44 roku życia Brat Andrzej (Franciszek Susmarski), 17 lipca umarł ks. Sosnowski, a wreszcie 26 września ks. Domaradzki. Koniec roku 1918 stał się też końcem wojny światowej a w której państwa centralne zostały pokonane, Austrja rozpadła się, a nasza Ojczyzna została wprawdzie wskrzeszona z grobu, ale od chwili powstania swego musi prowadzić walki z nienawistnymi sąsiadami. Wskutek oblę-

żenia Lwowa, przybywają do domu kleparskiego tamtejsi konfratrzy i tak w Nowy rok 1919 przybyli księża Rossmann i Sołtysik (pierwszy bawił na Kleparzu do 7 maja, a drugi do 26 kwietnia), w kwietniu przybył ks. Ciopalski i pozostał do lipca; wracają też księża domu naszego zawezwani do wojska niemieckiego w r. 1916 i tak: w styczniu wraca ks. Bibrzycki, następnie inni a na końcu wrócił ks. Sobawa (30 października). We wrześniu przybył jeszcze na stały pobyt na Kleparz ks. Ciopalski ze Lwowa i ks. Świerczek z Nowej Wsi.

Przez cały czas wojny nie był wcale obsadzony urząd prokuratora prowincji, przeto też wyżsi przełożeni powołali znowu na to stanowisko dotychczasowego Superjora domu kleparskiego ks. Antoniego Weissa w grudniu 1919 a na jego miejsce został przeznaczony dotychczasowy asystent domu stradomskiego ks. Franciszek Bączkowicz.

Ks. Antoni Weiss.

Lwów. — Księża Misjonarze przy ul. Dwernickiego.

Zanim w »Rocznikach« naszych pomieścić będzie można jakiś szkic rwącej się ustawicznie historji domów misjonarskich we Lwowie, dobrze będzie już teraz zrobić pobieżną kronikarską notatkę o dokonanem obecnie przeniesieniu się naszem z domu przy kościółku św. Kazimierza i tę kronikarską wzmiankę połączyć ze sprawozdaniem z czynności konfratrów tegoż domu przez przeciąg dwóch lat, to jest od sierpnia 1919 do sierpnia 1921 r.

Gdym w ostatnich dniach lipca 1919 r. przybył do Lwowa, aby po księdzu Rossmannie objąć urząd Superjora domu, głównem zadaniem, które mi nasz czcigodny ks. Wizytator zlecił, było rychłe i całkowite przeprowadzenie się z tymczasowego (od 1867 do 3/2 1920 r.) pomieszczenia naszego we Lwowie do zakupionego kontraktem z dnia 20/6 1919 r. przez Zgromadzenie domu, znajdującego się przy ulicy Dwernickiego L. 48.

Sprawa przeniesienia się naszego do tego nowego lokalu łączy się ściśle z zamiarem wybudowania przez nas w tej dzielnicy I-szej kościoła i ewentualnego objęcia przez Zgromadzenie mającej się utworzyć tamże parafji. Już w 1915 r. w kwietniu objął ks. Antoni Skrzydelski, Misjonarz, opiekę nad kościółkiem św. Zofji, jako eksponowany wikarjusz parafji św. Mikołaja, a to w podwójnym celu: naprzód, aby uchronić od zabrania przez Moskali tę milutką choć szczupłą

świątynię, a powtóre dlatego, że ludność okoliczna natarczywie domagała się otwarcia tego kościółka z powodu znacznej odległości i szczupłości kościoła św. Mikołaja. Projekta osiedlenia się w tej okolicy OO. Redemptorystów rozwiały się, a gdy ks. Skrzydelski umożliwił dostęp do kościółka przez wyszutrowanie przedtem gliniasto-błotnistej drogi, przez wyłożenie przed kościółkiem tarasu i ścieżki kamiennemi płytami, gdy swą gorliwością ożywił opustoszałe mury świątyni, gdy wystarał się o najpotrzebniejsze przybory kościelne, zaprowadził gazowe oświetlenie i ogrzewanie, a wreszcie co najważniejsza, gdy zapośredniczył w zaprojektowanem sobie, a następnie przy pertraktacjach przynaglił kupno domu przy ul. Dwernickiego L. 48, powzięło grono obywateli, zamieszkujących okolicę kościółka św. Zofji, pójść dalej w zbliżeniu się do księży Misjonarzy i dążyć do postawienia nowego kościoła i przydzielenia Zgromadzeniu parafji. Sądzono przytem, że najodpowiedniejszem miejscem na to jest grunt miejski, leżący między ulicami Snopkowską a Dwernickiego obok szkoły przemysłowej.

Tak rzeczy stały w czasie mojego przybycia do Lwowa. Gdy dnia 21 sierpnia 1919 r. wraz z ks. Bielawskim odwiedziłem pana prezydenta miasta Neumana w celu poznania jego opinji co do budowy nowego kościoła, upewniłem się, że pomimo, iż był on za postawieniem nowego kościoła, na gruntach tak zwanego »Nowego Lwowa«, to jednak budowie obok Przemysłówki sprzeciwiać się nie będzie i na postawioną przezemnie zasadę, że kościół musi się budować koniecznie w połączeniu z domem i ogródkiem dla księży Misjonarzy, się zgadza. W jaki sposób ma przyjść Zgromadzenie w posiadanie tych gruntów, potrzebnych pod budowę kościoła i domu wraz z ogrodem, tego na razie nie ustaliliśmy, przypuszczaliśmy nawet możliwość zakupienia tego gruntu od miasta, po zniżonej cenie. Rzecz ta ułożyła się dopiero dnia 25 października 1919 r. na konferencji, zwołanej przez pana Tadeusza Rybickiego, głównego promotora budowy tej świątyni, który chcąc całej akcji dać podkład szerszy, postanowił, żeby kościół ten stanął pod wezwaniem »Opatrzności Bożej« i był wyrazem wdzięczności należnej od nas Bogu za odzyskanie ojczyzny z kresami wschodniemi. Zwołana przezeń w porozumieniu z nami konferencja przy udziale Najprzew. ks. biskupa Twardowskiego, JExc. hr. Leona Pinińskiego, nadradcy Michała Łużeckiego, nadradcy Drexlera, rektora Obmińskiego, radcy Thuliego, Stan. Rybi-

ckiego, prezesa towarzystw politechnicznych, radnych Włodzimirskiego i Zawistowskiego, ks. profesora Żyły, wiceprezydenta prof. Chlamtacza i innych, po oglądnięciu miejsca i szerokiej dyskusji orzekła, że z pośród projektowanych trzech parcel, najlepiej nadaje się pod budowę kościoła parcela najbliższa miasta, a rzeczą ekspertów i przyszłego projektodawcy będzie ustalić przesunięcie tej parceli o drobną ilość metrów na wschód lub zachód. Miasto, według opinji zebranych, powinno grunt pod budowę świątyni, na cel tak wybitnie narodowy powstającej, podarować; ponieważ zaś dnia 22 listopada ma odwiedzić w tym roku oficjalnie Lwów Naczelnik Państwa Józef Piłsudski, więc dobrze będzie uchwałę Magistratu przyspieszyć i poświęcenie gruntu włączyć w program uroczystości przyjęcia Naczelnika. Rzeczywiście Magistrat miasta Lwowa na podanie, wniesione przez Najprzew. Arcyb. Konsystorz, uchwałą swoją z dnia 13 listopada i z dnia 20 listopada 1919 r. podarował Zgromadzeniu Księży Misjonarzy pod budowę kościoła i domu z ogródkiem grunt, obejmujący obszar 5139 m^2, a choć Naczelnik Państwa nie przybył i poświęcenia gruntu nie było, jednak dnia 4 grudnia 1919 przy pomocy 30 telefonistów wojskowych postawiliśmy na darowanym placu olbrzymi krzyż dębowy.

Tegoż dnia 4 grudnia zaczęła się nasza przeprowadzka do stojącego w pobliżu onego krzyża nowego domu przez przewiezienie węgla. Kupiony był ten dom 20 czerwca 1919 r. i po usunięciu się zeń najgrzeczniejszego lokatora zamieszkał w nim połowicznie ks. Skrzydelski, ale aby się wyprowadziło jeszcze czterech lokatorów, czekać trzeba było sześć miesięcy; a gdy 13 stycznia 1920 wyprowadził się piąty i przez to zdołaliśmy uzyskać ilość pokoi potrzebną do pomieszczenia 7 konfratrów i dwóch braci wraz z ubikacjami na bibljotekę, refektarz, rozmownicę, kaplicę. salę rekreacyjną i pokój gościnny, przenieśliśmy się dnia 3 lutego 1920 r. już całkowicie na nowe mieszkanie. Dokonanie przeprowadzki wraz z meblami, węglem, bibljoteką i poduszkami, ubraniami, ołtarzem etc. w czasie wojennym, gdzie cywilna ludność pozbawiona była środków przewozowych a silnych mężczyzn brak był wielki, nie było rzeczą łatwą. Wielką też jest zasługą ks. P. Mixy, że wykołatał u wojskowości pożyczenie automobilów ciężarowych, które już, jak to wspomniałem, dnia 4 grudnia przewiozły węgle,. a potem bibljotekę, trochę mebli i drzewo opałowe. Resztę przepro-

wadzki uskutecznił zamianowany wtedy na miejsce chorego ks. Mixy prokuratorem ks. Skrzydelski tak sprawnie, że dnia 2 lutego 1920 każdy konfrater w starem mieszkaniu miał tylko już łóżko, a 3 lutego po odprawieniu Mszy św. jeszcze u św. Kazimierza lub w swej kapelanji — na obiad przyszedł do nowego mieszkania, gdzie też każdy znalazł swój pokój uporządkowany i ogrzany.

Przeprowadziwszy się do nowego mieszkania, mogliśmy już pewniej w sprawie budowy kościoła postępować naprzód. Ponieważ dnia 7 stycznia 1920, odwiedziwszy na Wawelu kierującego odbudową pana Adolfa Szyszko-Bohusza architekta, poznaliśmy, że chętnie podjąłby się zaprojektowania szkiców pod budowę naszego kościoła i domu we Lwowie, więc aby uniknąć za drogiej na obecne czasy drogi konkursów, spowodowaliśmy zetknięcie się tegoż wysoko uzdolnionego artysty budowniczego dnia 16 maja na konferencji informacyjnej pod przewodnictwem JExc. hr. Pinińskiego z osobistościami mniej więcej temi samemi, które brały udział w konferencji, decydującej o wyborze miejsca pod budowę dnia 25-go października 1919 r. Wysłuchawszy postulatów, zarówno stawianych przez Zgromadzenie, jak i estetów i radców miejskich, obiecał pan Szyszko-Bohusz przedłożyć za miesiąc szkic i rzeczywiście chciał go przedłożyć już w lipcu. Niestety, fala bolszewizmu uderzyła właśnie wtedy w Polskę. Lwów, cały czas zagrożony, o czem innem, nie o estetycznych konferencjach musiał myśleć. Więc dopiero 10 października 1920 r. odbyło się wspaniałe zebranie rzeczoznawców, na którem pod nieobecność projektodawcy oglądano i poddano surowej ocenie plany pana Bohusza.

Przewodniczył JExc. ks. arcybiskup Metropolita Dr. J. Bilczewski; byli P. T. architekci, profesorowie: Łużecki, Krzyczkowski, Klimczak, inżynierowie: Thulie, Drexler, Stan. Rybicki i Rawski, artyści malarze: Batowski i Jarocki, był literat i esteta Wł. Kozicki i największy z żyjących poetów Kasprowicz, był ks. prof. estetyki Żyła i poseł Grzędzielski, był nasz wizytator ks. Kasper Słomiński i przybyły z Ameryki północnej przedstawiciel naszych konfratrów ks. Marceli Słupiński — słowem zebranie było świetne i nad wyraz kompetentne do wydania wyroku. A wyrok wypadł po długiej fachowej dyskusji w kierunku zmian i modulacji projektu nad wyraz dla projektodawcy pochlebnie. Głos pana Thuliego, zasadniczo występującego przeciw projektowi, pozostał całkiem odosobniony, a przeważna ilość fachowców

była zdania, że najdrobniejszej zmiany nie należałoby dopuścić w planach, tak są piękne i dobrze pomyślane. Odezwały się też głosy, nawołujące do zawiązania komitetów i zbierania zaraz składek. Aby spełnić wolę niektórych, skierowano do prof. Szyszko-Bohusza pismo następującej treści:

»Subkomitet wybrany z łona pełnego komitetu a złożony z pp. St. Rybickiego, Wł. Jarockiego, ks. Krzyszkowskiego, prof. D. Krzyczkowskiego, M. Łużeckiego, Wincent. Rawskiego, J. Drexlera, uznał projekt pański za znakomity na posiedzeniu dnia 15 października 1920, uchwalił jednak wystosować do W. Pana profesora następujące pytania:

1) czy ze względów estetycznych i kompozycyjnych dopuszczalne jest przesunięcie kościoła do 10 m. ku miastu, a to ze względu na oszczędność miejsca pod plac, oszczędność w robotach ziemnych i murze podporowym (5 głosami contra Rawski, Łużecki i Stan. Rybicki);

2) czyby nie należało przenieść krypty przedpogrzebowej w inne miejsce bez naruszania fasady od ul. Snopkowskiej, a urządzić tam wejście do sali zebrań pod kościołem (6 głosami contra Łużecki i prof. Krzyczkowski);

3) stworzenie większej ilości wyjść z kościoła wprost na ulicę Dwernickiego i przez terasę, oraz stworzenie wygodnych schodów od placu na terasę przy murze oporowym (wniosek p. Tad. Rybickiego, biorącego także udział w zebraniu).

Odpowiedzi na te pytania udzielił p. Szyszko-Bohusz dnia 19 grudnia 1920 r. na ankiecie, która się zebrała pod przewodnictwem JExc. hr. Pinińskiego w liczbie 18 osób, gdzie 16 głosami przeciw 2 uchwalono przyjęcie szkiców i wydzielono komitet organizacyjny, mający powołać do życia różne komitety współdziałające w dojściu do skutku budowy kościoła. Demonstrował też p. Szyszko-Bohusz szkic budowy na skonstruowanym modelu w formacie 200:1.

Tak stoi obecnie sprawa budowy kościoła. Składki na kościół prawie że dotąd nie były zbierane; przypadkowo przez Czcig. ks. Wizytatora zebrane w Ameryce północnej 1000 dolarów, które wtedy (9 września 1920) zamienione dały 227.750 mp., są najpoważniejszą pozycją w księdze dochodów, a drugą z rzędu 180 dolarów, które ks. Stan. Konieczny przysłał z Erie na 6 seryj mszy gregorjańskich już także na marki polskie zmienione, a które to msze konfratrzy domu lwowskiego odprawili na dochód budowy kościoła. Poza tem są same drobne ofiary złożone przypadkowo; agi-

tacji dotąd nie było. Ale też i pieniędzy na razie nie potrzeba, a trzymane w bankach topniałyby na wartości. Przyjdzie czas budowania, wtedy i składki popłyną szeroką falą, jeśli taka będzie wola Boża.

Sprawę powołania do życia nowej parafji zarzucono, więc też prowadzimy prace, które i dawniej właściwe były temu domowi. Konfratrzy tego domu mają pracę unormowaną posadami, które zajmują. I tak ks. Bielawski jako profesor pedagogiki i katechetyki w Uniwersytecie, przedewszystkiem oddaje się zawodowej pracy, a choć jest wątłego zdrowia, prowadzi oprócz tego bractwo pań Miłosierdzia a nadto świeżo przyjął obowiązki redaktora Miesięcznika katechetycznego. Ks. Sołtysik, absorbowany całkowicie katechetą (26 godzin tygodniowo) szkoły wydziałowej żeńskiej imienia Konarskiego, znalazł jeszcze czas na objęcie dodatkowo kilku godzin w żeńskiej szkole św. Zofji. Ks. Mixa, kapelan w więzieniu kobiet, udziela lekcyj katechizmu w Zakładzie dla ciemnych przy ul. św. Zofji, przyczem miał także rekolekcje dla Dzieci Marji we Lwowie od 7 września 1920, w Marjampolu zaś także dla Dzieci Marji od 8 grudnia 1920, zaś 14 lutego 1921 r. dla uczenic szkoły św. Elżbiety; chętnie też spieszył z kazaniami przygodnemi czy na triduum czy na odpusty. Księża Zabrzeziński i Leśniowski, oprócz pieczy duchownej nad chorymi i umierającymi w szpitalu, mają wiele pracy nad księgami i korespondencjami metrykalnemi, a liczne pogrzeby wiele im czasu zabierają. Mimo to ks. Leśniowski zajmuje się Stowarzyszeniem Dzieci Marji w szpitalu, pomagał w odpustach w Białym Kamieniu i Milatynie, do spółki ze mną dawał rekolekcje kobietom na oddziale wenerycznym, urządził Siostrom w Rohatynie nabożeństwo beatyfikacyjne i chętnie, o ile może, głosi kazania w mieście. Ks. Skrzydelski dźwiga ciężar prokuratora domu w tych ciężkich czasach, zajmuje się kościółkiem św. Zofji, pełniąc także funkcje pomocnicze wikarego u św. Mikołaja i od dłuższego czasu udziela nauki religii w szkole męskiej św. Zofji. Wreszcie podpisany Superjor domu dlatego właśnie, że oprócz spowiedzi Sióstr Miłosierdzia, w czem zresztą ks. Skrzydelski a także w razie wyjazdu ks. Mixa wiele mu pomagali, nie miał innego stałego zajęcia, mógł tem swobodniej przyjmować liczne rekolekcje, kazania, egzorty dla Dzieci Marji, a czasem konferencje i wizytacje domów Sióstr. I tak w przeciągu tych dwóch lat udzielił dwanaście razy rekolekcyj osobom świeckim, a to: w 1919 r. Dzieciom

Marji we Lwowie i Białym Kamieniu, a niewiastom na oddziale wenerycznym w szpitalu; w 1920 r. w poście w katedrze ormijańskiej, panom konferencji św. Wincentego w kaplicy seminarjum metropolitalnego i parafjanom w kościele św. Antoniego; w r. 1921 w poście dla nieintelincyi w Snopkowie, dla Pań Miłosierdzia u św. Wincentego, dla uczenic prywatnego gimnazjum panny Frenklówny, dla inteligencji w Złoczowie i w czasie triduum w Przeworsku. Oprócz tych dwunastu rekolekcyj wziął udział podpisany w nowennie misyjnej w Krakowie na Piasku na początku grudnia 1920, w misji w Baszkowie w pierwszej połowie maja a w Chełmnie przy końcu maja 1921 r. Ponadto w Wielkim tygodniu 1920 r. dawałem rekolekcje alumnom seminarjum archidiecezji lwowskiej, Siostrom zaś Miłosierdzia we wrześniu 1920 r. w Krakowie, w kwietniu 1921 r. we Lwowie, a 1 czerwca 1921 w Chełmnie. Dopełniłem też wizytacji kilku domów Sióstr w lipcu 1921 r

Lecz nie tylko księża, ale i bracia nasi mieli tu we Lwowie szczęście do pracy. Brat Jan Drygas i brat Jan (Józef) Kwiatkowski na barkach swoich przenieśli meble, bibljotekę i inne rzeczy do automobilów i wozów, a z automobilów i wozów wnieśli je i ustawili w nowym domu Bez najmowania pomocników przetransportował się węgiel, drzewo, zboże, ziemniaki; oni sami wyrównali ziemię przedtem pagórkowatą w równiutki ogród, wyplantowali i wyszutrowali ścieżki do kaplicy i podwórze, oni postawili szopę itd. itd.

Dobrze to, że dom lwowski, choć pański z wyglądu, dużo od mieszkańców żąda pracy, bo to daje zasługę po śmierci, a wesele za życia. Miło też wspomnieć, że latem 1920 roku przetrwaliśmy (choć nie wszyscy) przestrach bolszewickiego najazdu; gdy Lwów ze wszystkich stron w koło odrutowany, oszańcowany i nieprzyjacielskiemi hordami otoczony, skupił się w sobie jak jeż przez psy opadnięty, odwiedził nas wtedy i był przez parę dni z nami odcięty od Krakowa ks. Wizytator K. Słomiński, a obecność jego w czasie tego bądź co bądź groźnego dla Lwowa położenia była dla wszystkich dzieci św. Wincentego, tamże się znajdujących, nader pokrzepiająca.

Kończąc tę notatkę, ośmielam się wyrazić silną nadzieję, jaka nas ożywia, że za rok, za dwa, z pewnością bardziej już pozytywne wiadomości o budowie nowego kościoła i domu pomieści kronika »Roczników« ze Lwowa.

Lwów 14 sierpnia 1921 r. *Ks. Henryk Krzyszkowski.*

Wspomnienia pośmiertne.

Ś. p. Ksiądz Franciszek Ksawery Wrodarczyk.

Gdy śmierć zabierała nam konfratrów spracowanych i wiekiem pochylonych, z pewnym rodzajem rezygnacji godziliśmy się z tym bolesnym ciosem, jako z rzeczą przez wszystkich przewidzianą, ale jeśli z pośród nas ubywa konfrater niespodzianie, w sile wieku i czerstwego zdrowia, na którego zbożną, wszechstronną, wytrwałą, pełną zaparcia się i poświęcenia pracę w Zgromadzeniu, w Kościele i społeczeństwie liczyli bardzo wiele wszyscy, a na cichy i budujący żywot patrzał ogół z wielkiem uznaniem i głębokim szacunkiem, wtedy śmierć taka wstrząsa nas do głębi, obraca święta w płacz, a pieśni w narzekanie; budzi bezgraniczny żal i bezdenny smutek, bo śmierć takiego konfratra powoduje wyłom, który nie łatwo zastąpić.

Taką stratę poniosło Zgromadzenie przez przedwczesny zgon śp. ks. Franciszka Wrodarczyka, Superjora domu Jezierzańskiego, który 15 marca 1920 r., a w 46 roku życia, na posterunku, jak prawdziwy żołnierz Chrystusowy, dokonał chwalebnego żywota, będąc 28-mą ofiarą, jakiej nieubłagana śmierć zażądała od prowincji naszej w czasie wojny światowej. Korząc się przed niezbadanymi wyrokami rządów Opatrzności i majestatem śmierci, niepodobna mi nie zapłakać i nie zawołać: *doleo super te, frater mi Jonata,* żal nam cię, bo zaszło ci słońce życia ziemskiego i ogarnęła cię noc śmierci, kiedy się zdawało, że wskazówka na zegarze życia twojego dopiero południe wskazuje.

Dla uspokojenia żalu serca, a zbudowania śp. ks. Franciszkowi żywego pomnika w sercach ogółu przez naśladowanie jego życia cnotliwego, poświęcam jego bogobojnemu życiu i zbożnej działalności to skromne wspomnienie pośmiertne, osnute na tle współczesnego rozwoju życia Zgromadzenia.

I.

Pierwsze lata młodości. Małe Seminarjum. Mała charakterystyka. Wakacje.

W prastarej Piastów ziemi, na Górnym Śląsku, stała kołyska zmarłego. Śp. ks. Franciszek urodził się w Radzionkowie dnia 17 grudnia 1874 r. Rodzice jego Piotr i Magdalena z Korpaków, zamożni włościanie, z pomiędzy ośmiorga dziatek ofiarowali Franusia Bogu na sługę ołtarza. Wychowanie otrzymał bardzo staranne, a z pod staropolskiej strzechy rodzinnej wyniósł przedewszystkiem żywą i głęboką wiarę, przechowywaną pokoleniami, ogrzaną nie tylko wielkiem ciepłem rodzicielskiej pobożności, ale nadto, wspartą wzniosłym przykładem i gorliwością kapłanów, których ród jego dał Kościołowi. Pierwsze nauki pobierał wyłącznie w języku niemieckim, w pruskiej szkole ludowej, poczem wuj jego, ks. Korpak, bardzo gorliwy i pobożny proboszcz w Rybny koło Strzybnicy, wziął go do siebie, aby przygotować go do egzaminów gimnazjalnych. Wuj, który w czasie pruskiego kulturkampfu wiele doznał prześladowań, oraz rodzice, którzy rok rocznie przyjeżdżali do Krakowa na rekolekcje ludowe, chcąc syna ratować przed germanizacją, wysłali Franusia na dalsze studja do Krakowa, gdzie przebywał już brat jego stryjeczny. Przyjęty do Małego Seminarjum Księży Misjonarzy przez ks. J. Rossmanna, wówczas jeszcze diakona, przybył Franuś na Kleparz 28 sierpnia 1889 roku.

Pierwszego września rozpoczęły się w zakładzie trzydniowe rekolekcje pod przewodnictwem ks. Felicjana Bystrzonowskiego. W czasie głoszonych konferencyj powtarzał on często słowa św. Jana Klimaka: *da labores iuventutis*

tuae Christo et in senectute gaudebis pacatissimae quietis opibus. Słowa te zapisała sobie słuchająca go młodzież głęboko w sercu i pamięci. Całe rekolekcje wywarły wrażenie nadzwyczajne na ogół, a dla śp. ks. Franciszka były niewątpliwie podwaliną, na której oparł dalszy bogobojny i cnotliwy żywot. Pod tchnieniem tych ćwiczeń duchownych przeżywa Franuś w Małem Seminarjum kwiat wieku młodzieńczego w blasku słonecznego zdrowia i życia, wziąwszy sobie za hasło znane słowa: *ora et labora, perfer et obdura*, które sobie wypisał wielkiemi literami na w modzie wówczas będącej przysłonie ócz, celem ich ochrony przed migocącem i jedynem światełkiem gazowem, oświetlającem wielką salę przygotowawczą do lekcji. Wspomniane hasło zamienił śp. ks. Franciszek w czyn wymowny. A więc przedewszystkiem modlił się, ale modlił się ową doskonałością modlitwy świętych Alojzych, Stanisławów Kostków, Kazimierzów i Janów Perboye'rów, modlił się modlitwą, na jaką zdobyć się potrafi dusza wybrana, a wybrana dlatego, że Bogu chce złożyć hołdy najwyższej czci, chwały i uwielbienia. Wielka skromność i głęboka pokora opromieniała całe pasmo życia jego. „On ma róść, a ja się umniejszać" (Jan 3, 3). Oto te słowa ewangeliczne charakteryzują najlepiej stosunek jego do reszty kolegów, ale w stosunku do Boga chce on być zawsze pierwszym, dlatego najchętniej wysuwa się naprzód, aby przewodniczyć we wspólnej modlitwie, nawiedzeniu Najśw. Sakramentu, odmawianiu cząstki różańca, czytaniu duchownem, słowem, we wszystkich ćwiczeniach pobożnych. W pulpicie wśród książek ustawił sobie ołtarzyk, przed którym modlił się, rozpoczynając naukę. W owym czasie codzienna Komunja św. nie była jeszcze w tak powszechnem użyciu, jak dzisiaj po ogłoszeniu dekretu Piusa X., ale ile razy nadszedł dzień Jej przyjęcia, gotował się śp. ks. Franciszek do Niej tak, jak do największej uroczystości, jak gdyby miała być pierwszą Komunją św. w jego życiu. Ulubioną jego książeczką było „Naśladowanie" Tomasza a Kempis; w niej rozczytywał się codziennie, z czasem umiał ją prawie

całą na pamięć. Egzemplarz kupiony w klasie I. towarzyszył mu aż do grobu. W 1889 r. w poczet błogosławionych zaliczony Jan Gabrjel Perboyre miał w śp. ks. Franciszku szczególniejszego czciciela i naśladowcę; nie pomylę się, robiąc przypuszczenie, że zmarły życie swe wzorował na życiu naszego błogosławionego męczennika. Cóż teraz powiedzieć o jego dziwnie rzewnem nabożeństwie do Najśw. Marji Panny? W pierwszych dniach przybycia do Małego Seminarjum wyuczył się na pamięć w języku łacińskim *Memorare*, które odtąd codziennie rano i wieczór z wielkim pietyzmem na chórku u stóp ołtarza Matki Boskiej odmawiał. Niebawem postarał się o *Officium parvum B. M. V.*, które mówił sam a chętniej jeszcze z kolegą swoim. W sali przygotowawczej stała figura Królowej nieba i ziemi z medaljonem na piersiach. Śp. ks. Franciszek wypisał imię swoje na karteczce i niepostrzeżenie włożył ją do medaljonu, aby stać się sodalisem, aby o nim pamiętała ta Stolica mądrości. Oto jak przemyślna była pobożność jego, która jak złota jutrzenka olśniewała jego lata młodzieńcze.

Powiada Apostół Paweł: „Pobożność jest do wszystkiego użyteczna", ale potrzebna ona przedewszystkiem uczącej się młodzieży, bez pobożności będzie nauka tem, czem nóż w ręku szaleńca. Otóż śp. ks. Franciszek łączył prawdziwą pobożność z gruntowną nauką. W pilności i pracy był niedościgły, chwilki czasu nie zmarnował, przykładał się do nauki całym nakładem sił fizycznych i intellektualnych, chociaż był więcej, aniżeli średnio uzdolniony. Przechodzi całe Małe Seminarjum celująco, a z klasyfikacją pilności wytrwałą, walcząc ustawicznie z kolegami zdolniejszymi o palmę pierwszeństwa. Wówczas (1889—1893) uczyli w zakładzie przeważnie młodzi klerycy, nie zawsze zdający sobie sprawę z miary i objętości przedmiotu, mogącego być objętym umysłem studentów, walczących nadto z wielkiemi trudnościami polskiego języka. Śp. ks. Franciszek umiał zawsze, przy mrówczej pracowitości, skutecznie pokonywać wszystkie piętrzące się trudności, czem pozyskał sobie uznanie, względy

i serca u ogółu profesorów; nadto znalazł jeszcze tyle wolnego czasu, że mógł się specjalizować w historji naturalnej. Sławny przyrodnik Dr. Wł. Kulczyński, uczący w zakładzie naszym, tak zapalił śp. ks. Franciszka do wykładanego przez siebie przedmiotu, że tenże poświęcił zdolności swoje naukom przyrodniczym. Warunki zaś składały się znakomicie, bo dyrektor ks. J. Rossmann zakupił co dopiero zbiory p. Böhma; one stały się podwaliną dzisiejszego pryrodniczego gabinetu misjonarskiego w Krakowie. Śp. ks. Franciszek, pod umiejętnym i fachowym kierunkiem swego profesora i dyrektora, zbiory te porządkował i katalogował. Nie koniec na tem, albowiem nie było wycieczki, żeby jakimś nowym okazem zbioru nie powiększył. Gromadził z mrówczą skrzętnością nie tylko różne motyle, owady, pająki, gady i rośliny, ale nadto znosił na barkach ciężkie okazy ze świata mineralnego.

Z pilną nauką szły w parze chwalebne obyczaje. Śp. ks. Franciszek przeszedł całe Małe Seminarjum z zachowaniem się wzorowem. Nie było to na owe czasy rzeczą tak łatwą do osiągnięcia. Zakład był liczny, wszystkie klasy były od początku zakładu po raz pierwszy zapełnione, ale wśród tylu młodzieży znalazły się jednostki mniej dobre. W tych przejściowych czasach umiał śp. ks. Franciszek zachować jedność i zgodę ze wszystkimi, nie oglądając się na żadne programy, zachowywał program Chrystusowy, zawarty w przykazaniu miłości bliźniego. Dla drugich był zawsze bardzo wyrozumiały, nigdy nikogo nie potępiał, o cudzych błędach i wadach nie mówił, o nich słuchać nie chciał, a jeżeli kiedy zeszła rozmowa na podobny temat, starał się ją sprowadzić na inny przedmiot, lub zmarszczywszy czarne brwi, z pewnym rodzajem boleści mawiał: bracie, daj spokój, co nas to obchodzi.

Z powodu niesłychanej, pod każdym względem, sumienności, jaką się śp. ks. Franciszek odznaczał, ks. dyrektor powierzył mu dzwonek zakładu, owego regulatora pracy i zabawy, stróża ładu i porządku domowego, a nieprzyjaciela

wszelkiej swawoli. Obsługa tego regulatora życia zakładowego narażała go jednak na wiele przykrości. Wspominam o tym drobnym szczególe, bo właśnie w nim pokazało się piękne i szlachctne serce zmarłego. Otóż jeden ze swawolniejszych kolegów znieważył go czynnie za to, że już szedł do dzwonka, aby dać znak, że rekreacja skończona. Śp. ks. Franciszek zniósł zniewagę spokojnie i nie użalił się nikomu. Tymczasem jeden ze świadków zajścia ujął się za pokrzywdzonym i doniósł o tem ks. dyrektorowi. Napastnika, w gorącej wodzie kąpanego, nie ominęła zasłużona kara. Dowiedziawszy się jednak o niej śp. ks. Franciszek zabolał serdecznie, a poszedłszy natychmiast do ukaranego, przepraszał go i tłumaczył się, że kara została mu wymierzona bez jego wiedzy i woli, dopóty też nie ustąpił, dopóki na znak zgody nie podał mu ręki. Od tej pory zawarł też z nim serdeczną przyjaźń trwającą lat kilka. Takim ideałem kolegi był zmarły dla swoich towarzyszów. Jakżeż więc było go nie kochać, i nie szanować, skoro kochał wszystkich bez różnicy i w sercu chować urazy nie umiał. I rzeczywiście, kochał go ogół serdecznie; księża dyrektorowie ks. J. Rossmann (1889—1891 r.), oraz śp. ks. Jakób Konieczny (1891—1893 r.) nie mogli znaleść dość słów pochwalnych dla jego pobożności, pilności i wzorowego zachowania. Młodszym i starszym był stale stawiany za wzór do naśladowania pod każdym względem. Ówczesnem Małem Seminarjum interesowała się żywo cała prowincja. Księża przychodzili do wychowanków prawie codziennie na rekreację, a Wizytator śp. ks. Soubieille bywał bardzo często nie tylko na rekreacji, ale i w czasie przygotowania lub lekcji wchodził do klasy. Otóż już wówczas zwrócił on na śp. ks. Franciszka szczególniejszą uwagę, a czytając wychowankom co miesiąc klasyfikację powtarzał uroczy starzec: „i ja myślę, że małe François będzie pociecha i będzie!“ Przyzna każdy, znający śp. ks. Wizytatora, że był on bystrym obserwatorem i doskonałym znawcą ludzi.

Tymczasem szybko mijał czas studjów w zakładzie. Wobec tego pytam z poetą: „Ach więc wszystko minęło...?“

Prócz „duszy i Boga wszystko mija na świecie, dobra i zła dola“. Śp. ks. Franciszek, skończywszy z końcem czerwca 1893 r. studja Małego Seminarjum, unosił z niego duszę promienną, a w niej Boga, unosił: „m ą d r o ś ć i r o z t r o p n o ś ć b a r d z o w i e l k ą i p r z e s t r o n n o ś ć s e r c a“ (III. Reg. 4. 29). Więc teraz przed 19-letnim studentem stanęły otworem podwoje Seminarjum internum, lecz przekroczenie doń progu nastąpić może dopiero z końcem sierpnia. A więc dwumiesięczne wakacje... Co za urok w tych słowach dla młodego studenta! Nastał wreszcie czas wytchnienia, swobody, wycieczek gdzieś na wymarzone gór szczyty, lub w knieje gęstych borów, kędy woda szemrze, cień chłodzi. ptaszyna śpiewa. Czas wakacyj — ach, to czar serca, serca rodzinnego, przy boku ojca, matki, w gronie rodzeństwa! Ach, śnie na kwiatach, śnie mój złoty... Nie tak wyśnione mieli wakacje wychowankowie zakładu; utartym bowiem zwyczajem spędzali je w obrębie murów kleparskich, urządzając stąd bliższe lub dalsze wycieczki. O ile ogół poddawał się tej nieubłaganej konieczności z pewnym pomrukiem niezadowolenia, o tyle cieszył się śp. ks. Franciszek z tego zarządzenia, ponieważ mógł poświęcić więcej czasu wykończeniu prac w gabinecie, oraz lekturze. Zmarły był z liczby tych, którzy mawiali: *timeo hominem unius libri.* Czytywał więc bardzo dużo książek doborowych, zwłaszcza religijnych i przyrodniczych. Nadmierną lekturą osłabił sobie wzrok, stąd wcześnie posługiwać się musiał okularami. Ponieważ klerycy spędzali wakacje w Czatkowicach pod Krzeszowicami na folwarku sióstr Norbertanek, kościół kleparski był pozbawiony śpiewu i splendoru asysty. Ażeby jednak stalle nie świeciły pustkami, ubierano w sutanny na święta i niedziele wychowanków z ukończonem Małem Sem. aby okazałe nabożeństwa w domu centralnym podtrzymać. I znowu śp. ks. Franciszek wysuwa się na pierwsze miejsce: wyszkolił bowiem swych kolegów doskonale w rubrykach i śpiewie chóralnym i już odtąd poświęca się studjom ceremonij i rubryk. Pod jednym, jak i pod drugim względem był mistrzem

niedościgłym, zachowując sam, jak najskrupulatniej, najdrobniejsze pod tym względem przepisy kościelne.

II.

Seminarjum internum. Dalsze studja. Ogólny pogląd. Święcenia Kapłańskie.

Dnia 1-go września 1893 roku przechodzi śp. ks. Franciszek do Seminarjum internum, tej szkoły niebieskiej nauki, tego raju rozkoszy duchownych, tego Boskiego warstatu, kędy młotem ćwiczeń duchownych i pilnikiem karności księży Dyrektorów przyrządzają się i oczyszczają naczynia wybrane i przeznaczone do ozdobienia ołtarzy Boga żywego. O, jakże niezmiernego szczęścia doznawał zmarły, przepędzając w tem ustroniu dwa lata! I tutaj znowu wedle słów Ducha świętego: „Mądrość sprawiedliwego drogami prostemi prowadziła i ukazała mu królestwo Boże i dała mu moc poznania świętych i uczciła go w pracach i napełniła prace jego". (Sap. 10. 10).

Dyrektorem Seminarjum internum był śp. ks. Dr. Wojciech Wdowicki. Usilne starania nad wyrobieniem sumienności i poczucia obowiązkowości w klerykach — tak czytamy w nekrologu, poświęconym pamięci jego — gorliwa praca aby im dać, jak najlepiej, poznać życie duchowne, nacisk na posłuszeństwo i karność, skuteczne dążenie, aby jak najwyżej podnieść ich poziom wykształcenia, a przytem wyrobienie przywiązania i szacunku do reguł św. i wszystkich praktyk Zgromadzenia — oto przymioty tego dyrektora. Widać z tego programu, że był bardzo wymagającym kierownikiem młodzieży i że wymagał od seminarzystów bardzo wiele. Śp. ks. Franciszek nietylko sprostał tym wymogom, ale nadto zidealizował go swem życiem. Przedewszystkiem zachowywał reguły Sem. internum z niesłychaną skrupulatnością, posuniętą niemal do husytyzmu; cenił je jako rzecz świętą, a każdy przepis uważał za rzecz niezmiernej wagi dla własnego uświęcenia i dla ogólnego dobra Zgroma-

dzenia. Trzymał się maksymy: *qui regulae vivit, Deo vivit* Z tego powodu najwyżej cenił medytacje ks. Pohla. Z dniem każdym obficie wzbogacał umysł i serce zdobyczami św. mądrości, zapoznając się wszechstronnie z arkanami życia duchownego. Wkrótce doszedł do takiej wszechstronności w umiejętnościach duchownych, że stale służył kolegom wskazówkami, celem przygotowania się do konferencji. Wymowę miał bardzo płynną, dźwięczną, wyraźną, kiedy więc sam powtarzał myśli z rozmyślania, lub mówił konferencje, słuchali go z przyjemnością zarówno młodzi jak i starzy, którzy nas dawno pożegnali. W jakąś uroczystość Matki Bożej, zapytany w czasie medytacji o powtórzenie swych myśli, mówił tak wzniośle i z takiem namaszczeniem ducha, że śp. wizytator ks. Soubieille młodego seminarzystę pochwalił publicznie wobec całego Zgromadzenia. Innym razem przystąpił do niego po konferencji jeden ze starszych księży z prośbą, aby mu powtórzył to, co mówił w czasie konferencji, dodając, że nigdzie nie spotkał się z tak pięknemi myślami na dany temat. O prostoto cudowna, o pierwotny duchu, do czegoś ty nie był zdolny!

Ale skądże czerpał śp. ks. Franciszek ową mannę duchowną, którą zasilał siebie i drugich? Czerpał ją przedewszystkiem z licznych dzieł ascetycznych i Ojców kościoła, które nieustannie czytał i streszczał. Jak w Małem Seminarjum było dlań Naśladowanie Tomasza a Kempis alfą i omegą, tak w Seminarjum internum była dla niego wszystkiem owa księga nad księgami: Pismo święte, stosownie do zalecenia Ducha świętego: „Niechaj nie odstępuje księga zakonu tego od ust twoich, ale w niej będziesz rozmyślał we dnie i w nocy, abyś strzegł i czynił wszystko, co w niej napisano" (Jos. 1. 8). Znał tak Pismo św. na wskroś, a listy św Pawła umiał niemal całe na pamięć. Jeżeli więc, zdaniem św. Augustyna: *sapienter quis dicit, tanto maius vel minus, quanto in scripturis sacris magis minusque profecit*, to bezwątpienia był śp. ks. Franciszek bardzo *sapiens.*

Drugiem źródłem była modlitwa. Powiada znowu św. Augustyn: *bene novit recte vivere, qui recte novit orare.* Otóż starczyło rzucić okiem na śp. ks. Franciszka, aby się przekonać, że był to doskonały *vir orationis.* Podczas modlitw klęczał bez klęcznika i oparcia w głębokiej zadumie, wyprężony jak struna, mając oczy spuszczone i na pół przywarte. Wtedy przebijał się w całej jego postaci niezwykły majestat powagi i urok anielski, czułeś, że ten rozmawia z Bogiem na prawdę, że tak chyba święty modlić się może. Śp. ks. Franciszek był żywy i prędki z natury, zawsze mu było pilno, zawsze był *indefessus agendo.* Ten jego pośpiech był jednak godzien podziwu podczas rannego wstawania. Inni zabierali się dopiero do mycia, on już pierwszy klęczał w kościele w ciemnym kąciku u stopni ołtarza Matki Boskiej z Lourdes. O ile sobie przypominam, miał śp. ks. Franciszek trzech współzawodników, prześcigających się w otrzymywaniu pierwocin błogosławieństwa rychłym rankiem z rąk Najśw. Panienki. W przeciągu lat siedmiu był zaledwie parę razy wyprzedzony. Wtedy zasmucony mawiał: dziś w rannem wstaniu wyprzedził mnię ten a ten, ale jutro do tego nie dopuszczę. I tak było. Jako kleryk odmawiał stale *Officium defunctorum* za zmarłych konfratrów w dniu, w którym przyszła wieść o zgonie ich, a jeżeli przyszło wieści kilka na raz, to tyle natychmiast odmówił officjów. Już jako seminarzysta chętnie odmawiał na przemian brewjarz z alumnami z wyższymi święceniami lub kapłanami. Któż wreszcie zdoła wyliczyć i opisać wszystkie jego cnoty? Zaiste, mówiąc słowy złotoustego Skargi, „to była góra złota, w którą im niżej kopiesz, tem więcej bogactwa znajdziesz, to studnia Jakóba, do której wiadra trzeba i powrozów, tj, rozmyślania pilnego na wyczerpanie przykładów z świętych spraw i żywota jego".

W dzień Wszystkich Świętych 1895 r. złożył śluby śp. ks. Franciszek z sześcioma kolegami, którzy z liczby dwudziestu trzech wytrwali w Zgromadzeniu. W rok później 26 czerwca należał do grona dwudziestu czterech kleryków

domu kleparskiego, którzy otrzymali mniejsze święcenia z rąk Najprzew. księcia biskupa Jana Puzyny. Tak liczny zastęp młodych lewitów misjonarskich chyba nie rychło stanie u stóp ołtarza, aby stać się cząstką wybraną Pana, stać się, jak powiada sobór Trydencki, ludem świętym, Jego błogosławioną cząstką. Doznawszy w tak krótkim czasie łask tylu, zdawało się ś. p. ks. Franciszkowi, że jest już u szczytu szczęśliwości. Równocześnie jednak zdawał sobie sprawę, że łaski te, tchnące niewymowną dobrocią Bożą, zobowiązują go do coraz wyższej doskonałości, opartej na wiernem zachowaniu reguł Zgromadzenia. Pamiętał na słowa autora „Naśladowania“: *habitus et tonsura modicum confert, sed mutatio morum et integra mortificatio passionum verum faciunt religiosum* (l. I. C. 17. 6). Znał i owe drugie: *amici Christi Domino servierunt in fame et siti, in frigore et nuditate, in labore et fatigatione, in vigiliis et ieiuniis, in orationibus et meditationibus sanctis, in persecutionibus et opprobriis multis* (l. I. C. 18. 3). W tych więc cnotach począł się odtąd ćwiczyć i w nich wzrastać.

Tymczasem zaszły w zarządzie kleryków poważne zmiany. Seminarjum internum wraz z ks. Wdowickim przeniesiono w r. 1894 na Nową Wieś, podczas gdy na Kleparzu zostali klerycy studenci, dla których został mianowany dyrektorem ks. K. Słomiński. Nowy ks. dyrektor uderzył przedewszystkiem w tysiąców czynów stal. W gronie konfratrów rozpoczyna w 1895 r. wydawnictwo „Roczników“ Zgromadzenia. Dla kleryków wyszukał pierwszorzędnych profesorów, zreformował plany nauk. Zakres nauk pomnożono wykładami patrystyki, katechetyki, wymowy kościelnej, teologji pastoralnej, historji filozofji, literatury powszechnej. Odbywają się odczyty, dysputy filozoficzne i teologiczne, zakwitły sztuki piękne, słowem, Kleparz zatętnił gorączkowem życiem o wielkim rozmachu. Najwięcej zwolenników liczyło kółko przyrodników, pracujące z nadzwyczajnem zaparciem, wydatnie, nad pomnożeniem zbiorów gabinetu przyrodniczego. Do niego zmobilizowano konfratrów wszystkich zakątków świata

i poproszono o pomoc OO. Trapistów z Afryki. Z Bałtyku płynęły ryby mrożone. Mieszkania kleryków zapełniają się egzotycznemi ptakami, a klasy zamieniają się w jakiś warstat wielkiej pracy. Niektórym zdawało się to wszystko za niewystarczające, rzucili więc myśl wydawnictwa własnego pisemka oraz stworzenia orkiestry. Pomysły te były nawet na owe jeszcze czasy wprost szalone. Przecież pisemko tygodniowe „Młyn" o barwie humorystyczno-satyrycznej z klasycznemi karykaturami pojawiło się. Ponieważ nie uzyskało aprobaty, wiodło żywot w ukryciu w gronie zaufanych „Młynarzy". Jeszcze trudniej szło z założeniem orkiestry. Wprawdzie ogół, nie wykluczając księży, popierał jej zawiązek ze względu na zbliżający się 50-letni jubileusz kapłaństwa Wizytatora ks. Soubieille, ale właśnie na uzyskanie jego aprobaty nie było sposobu. Ponieważ jednak ogół oświadczył się za założeniem orkiestry, przeto garstka kleryków, zakupiwszy instrumenta, ćwiczyła się pod batutą śp. Józefa Sierosławskiego. Pierwszy wielki sukces odniosła orkiestra 29 czerwca 1899 r. w czasie wspomnianego jubileuszu.

W całym ówczesnym ruchu umysłowym bierze śp. ks. Franciszek żywy udział: występuje z odczytami, gwoli koleżaństwa gra na klarnecie w orkiestrze, ale ponad wszystko przekłada pracę w gronie przyrodników. Pozatem pracuje w wydawnictwie Roczników Dzieciątka Jezus, uczy katechizmu dziatwę przychodnią, głosi nauki w kaplicy ubogim w niedziele i święta a we czwartki chorym szpitala św. Łazarza; dwa razy w tygodniu uczęszcza do szkoły przygotowawczej Seminarjum nauczycielskiego na praktyczne lekcje katechetyki ks. Bielenina. Wreszcie śp. ks. Sokołowicz upatrzył sobie „Franusia" na stałego pomocnika przy prowadzeniu ksiąg brackich w czasie misyj ludowych na Kleparzu. W 1899 r. został mianowany dyrektorem kleryków ks. Józef Gaworzewski, który, ująwszy w swe ręce przez swego poprzednika rozpoczęte kierunki pracy, rozwijał je pomyślnie dalej.

Wśród tak sprzyjających warunków dojrzewał umysł i serce śp. ks. Franciszka. Studja teologiczne miały się ku końcowi, wobec tego otrzymuje z rąk ks. kardynała Puzyny subdiakonat 23 września 1899 r., diakonat 14 kwietnia 1900 r. a święcenia kapłańskie 1 lipca tegoż roku.

III.

Na posterunku. Kapłan - misjonarz.

Po upływie dwóch tygodni, spędzonych na prymicjach w domu rodzicielskim, wraca ks. Franciszek na Kleparz po to tylko, aby zabrawszy rzeczy, wyjechać do Jezierzan na rządową posadę katechety szkoły ludowej. Pożegnawszy kolegów szkolnych, z właściwym sobie anielskim uśmiechem, powiedział: „No, już mię tutaj tak wnet nie zobaczycie!“ Słowa dotrzymał, bo od tej chwili upłynęło lat dwadzieścia, zanim go krakowscy konfratrzy zobaczyli. Odjechał raz na zawsze i, że użyję słów Mickiewicza: „Drzwi od Europy zamknął hałasów“. Już go nie dościgniesz okiem, nie uprosisz słowem, nie zwabisz obietnicą, by wrócił na zachód. Będziesz go szukał na próżno w miejscach wywczasów lub gdzieś w gronie kolegów! Rok za rokiem będzie mijał, a rok każdy tyle zmian przyniesie, on zmian nie zna! Lat dwadzieścia upłynie, w tym okresie czasu dziesiątki konfratrów przesunie się przez dom Jezierzański, tam tworzyć się będą owe niestrudzone szwadrony misyjne, co przeorzą wzdłuż i wszerz kraj cały, on jeden, jakby wrósł w miejsce, domu na krok nie opuści, do lotu się nie zerwie — rzekłbyś istny Stylita, który na wszystkie perswazje, by się gdzie przejechał, jedną miał odpowiedź, zawartą w słowach naszego pieśniarza ludowego:

Jak rozległe ziemie Boże!...
Przebież kraje, przerzuć role,
Zjedź świat cały, przepłyń morze:
Niemasz kraju nad Podole! (*W. Pol.*)

Od chwili przyjazdu do Jezierzan, pokochał Podole, ukochał jego lud i trud, jego zwyczaj i obyczaj, zrósł się z niem, jak zrosła się rybka z wody strumieniem.

Ks. Franciszek był przywiązany do Zgromadzenia, jak mało kto inny, był misjonarzem w każdym odcieniu życia, byłby się więc zgodził z wolą Bożą i przełożonych na każdą zmianę, ale to pewne, że gdyby go była ona spotkała, byłby całe życie tęsknił za powrotem na Podole. Pokazało się też niebawem, że bardziej niezbędnego misjonarza w Jezierzanach nie było w Zgromadzeniu. Wszak był on tam wszystkiem, czem tylko kapłan-misjonarz być może na ostatnich kresach ziemic polskich. Był najwzorowszym synem św. Wincentego, był duszą, świecznikiem i niestrudzonym apostołem kresów, był najgorliwszym wychowawcą młodzieży i duszpasterzem, był nieustraszonym obrońcą obrządku łacińskiego, pionierem oświaty, perłą dekanatu, stał się wszystkiem dla wszystkich, aby pozyskać wszystkich Chrystusowi, Kościołowi i społeczeństwu polskiemu. Całe Podole, dwory i chaty wiejskie, Polacy, Rusini i żydzi znali jego cnoty, tysiące ust mówiło o nim nie inaczej, jak tylko: to ksiądz, to ksiądz, jak napisano w Piśmie św., to ksiądz święty! *Vox populi, vox Dei,* mówi znane przysłowie. Głos ludu, nie obałamuconego chwilowym blichtrem goniącego za popularnością; głos ludu, patrzącego przez lat dwadzieścia na życie i czyny tego skromnego misjonarza, który: *esse optimus, non videri studebat* — głos ludu, wydobyty z jego serca prostego i nieskażonego, to głos prawdy, to była ziemska nagroda tego syna św. Wincentego o czystem jak kryształ życiu, o gorącej miłości ludu. Tylu przesunęło się przez dom w Jezierzanach, na życie i czyny tylu gorliwych kapłanów lud tam patrzał i w oczach tego ludu tylko śp. ks. Franciszek uchodził za świętego! To ksiądz święty — wielkie i znamienne to słowa! Ale czyż nam one nie przywodzą na pamięć słów, któremi lud rzymski, patrząc na niepokalane i dobroczynne życie pierwszych chrześcijan, wołał: *Illi soli innocentes, soli sancti!*

Jak pierwociny Kościoła św. ożywiał duch Chrystusa Pana, tak księdza Franciszka ożywiał duch pierwotny synów św. Wincentego. Zaś o w o c e m d u c h a, powiada Apostoł

narodów są: miłość, wesele, pokój, cierpliwość, dobrotliwość, dobroć, cichość, wierność, skromność, wstrzemięźliwość, czystość (Gal. V.). Oto więc cnoty, które, jak gdyby gwiazdy na pogodnem niebie, towarzyszą jego kapłańskiemu i misjonarskiemu życiu na dalekiem Podolu. Życie jego było żywą i chodzącą regułą, żył wyłącznie pracami i duchem Zgromadzenia, najdrobniejsze przepisy bezwzględnie, skrupulatnie i z niewymownym pietyzmem przestrzegał. Czy mam może mnożyć przykłady w nieskończoność? „Młodość jest, wedle słów poety, rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały". A mędrzec Pański powiada: Młodzieniec wedle drogi swojej, choćby się zestarzał, nie odstąpi od niej (Pror. 22. 6). Wiemy, jakim był ks. Franciszek młodzieńcem w Seminarjum małem i internum, otóż i potem chodził temi samemi drogami, dalej bieżył do kresu wysokiego wezwania Pańskiego (Filip 3. 13). Jednak choć kilku przykładów nie mogę milczeniem pominąć. A więc przedewszystkiem wstawanie o godzinie 4 rano było dlań regułą tak świętą, że zachowywał ją, pomimo, że wracał do domu z odpustu lub ekskursji nieraz późną nocą. Spoczynku, poza przepisaną godziną, nie używał nigdy. Jeżeli czasem zaspał z wyczerpania sił, lub wskutek bezsennie spędzonej nocy z powodu bólu zębów, na które często zapadał, wówczas gniewał się sam na siebie, tłumaczył się przed ks. superjorem i konfratrami. Mimo ustawicznej pracy, nigdy nie opuszczał żadnych ćwiczeń i praktyk pobożnych Zgromadzenia: codziennie klęcząco czytał Pismo św. i Naśladowanie, zawsze znalazł czas na czytanie duchowne i nawiedzenie Najśw. Sakramentu. Jedną trzecią część życia spędził na wózkach, objeżdżając szkoły i kaplice po wioskach w obrębie parafji, ale jechał zawsze z koronką w ręku. Officjum stale antycypował, a jeżeli był zaskoczony pracą, nie poszedł ze mszą św. prędzej, aż brewjarz odmówił. Odprawiał rok rocznie ośmiodniowe rekolekcje, zwykle w Czortkowie, w zaciszu, u Sióstr Miłosierdzia. Tyle używał w czasie wakacyj wywczasów i wy-

tchnienia. Cóż teraz powiem o dochowaniu ślubów? „Co raz wyszło z ust twoich, zachowasz — powiada Duch św. — i uczynisz jakoś obiecał Panu Bogu twemu (Deut. 23. 23.). O jakże wiernie trzymał się śp. ks. Franciszek tego zalecenia! Mamże więc wynosić jego ubóstwo, posunięte do ostatecznych granic? Mamże wychwalać jego doskonałą całopalną ofiarę samego siebie, którą wyrzekł się własnej woli? Ale jednego, co jest zawsze cechą wielkiej świątobliwości kapłana, przemilczeć nie mogę.

Powiada św. Wincenty: „nie dosyć jest dla was, abyście zachowali doskonałą czystość, lecz powinniście nadto czynić wszystko, co możecie, i tak się zachować, aby nikt nie miał powodu do najmniejszych podejrzeń przeciwko wam odnośnie do występku przeciwnego, ponieważ to podejrzenie, chociażby było wcale nieuzasadnione, będzie szkodliwsze dla waszej pracy, niż wszystkie inne występki, o któreby was fałszywie oskarżano". Otóż ks. Franciszek przez całe swoje życie zachował taką skromność, że nikt nigdzie ani go nie podejrzewał, ani mu nie zarzucał jakiejkolwiek rzeczy, przeciwnej cnocie anielskiej. I gdyby dzisiaj, stanąwszy wobec swych współbraci i ludu, który nań przez tyle lat patrzał, zapytał słowy Samuela i zaklinał na Boga mówiąc: „Świadek jest Pan na was, żeście nic nie znaleźli we mnie" (I. Reg. 12. 5). musielibyśmy wszyscy odpowiedzieć mu z czystem sumieniem i z ręką na piersiach: „Świadek Pan, żeśmy nic nie znaleźli". A przecież, będąc człowiekiem, był ułomnym, ale znowu, jak doskonale i mężnie powściągał swoje namiętności, jak po mistrzowsku umiał je krzyżować. Pożycie domowe było z niem miłe, serdeczne, pełne życzliwości braterskiej. Któż wypowiedzieć zdoła jego troskliwość, jaką otaczał śp. ks. Wdowickiego w czasie jego ostatniej choroby? Prócz tego był najwierniejszym stróżem cnót, ładu i dorobku domu Zgromadzenia. Prawdziwy *custos fidei et domestici ordinis,* jako asystent lub prokurator domu, więcej aniżeli jego superjorowie zwróconą miał baczność na wszystko: służba, dobytek, potrzeby

domowe i porządki, wszystko go to od wczesnego ranka do wieczora obchodzi i jakby miał sto ócz, wszędzie zajrzał, wszystko opatrzył, doglądnął, wszystko ogarniał swoją pamięcią i sercem. Któż z nas nie przypomina sobie z „Pana Tadeusza" Gerwazego Rembajłę, ostatniego klucznika Horeszkowa, trzymającego błyszczące klucze, jakby puginał, owego „Mopanku", urzędnika zamczyska, stojącego na straży zwyczajów i tradycji starej siedziby, dręczącego każdego wieczora zegary kurantowe, już dawno ze słońcem nie chodzące w parze? Takim konserwatywnym Gerwazym był ks. Franciszek w jezierzańskim domu. Zgoła nic nie uszło jego uwagi, pilnował, aby wszystko szło starym, utartym szlakiem. Był podwładnym trzech superjorów, każdy z nich miał swoje indywidualne zapatrywania na gospodarkę, zarząd domu i parafji. Otóż ks. Franciszek na każdą nowość z oburzeniem, za klucznikiem, wołał: „Widzisz pan, co się wyrabia, trzebaż jeszcze tego?".

Św. Franciszek Salezy powiada, że pobożność i nauka, jestto para oczów doskonałego kapłana; takim chciał być ks. Franciszek, dlatego powtarzając często słowa: „wargi kapłańskie będą strzedz umiejętności" (Malach. 2. 7.), pilnie oddawał się studjom. Słuszną jednak robi uwagę św. Alfons Liguory mówiąc: wielu kapłanów poświęca czas na uczenie się matematyki, astronomji, historji itd. a potem wymawiają się, że nie mają czasu! Czyżby takim słusznie nie można powiedzieć: masz czas do zostania uczonym, a nie masz go dosyć do zostania kapłanem. Otóż ks. Franciszek dużo studjował, ale w tym celu, aby stać się kapłanem światłym, studjował wszystko, co się odnosiło do zagadnień jego powołania i zawodu. Rok rocznie przerabiał teologję dogmatyczną, moralną i prawo kościelne, rozczytywał się w fachowych pismach z zakresu katechetyki i wychowania, ogrodnictwa i gospodarstwa.

W gorliwości o dusz zbawienie był ks. Franciszek niezmordowany, chcąc rzeczywiście, mówiąc słowy św. Dionizego Areopagity: *deificare homines!* Nosiła też ona wszystkie ce-

chy świętej gorliwości, opisanej przez św. Bernarda: „Gorliwość twoją, powiada, niech rozpłomieni miłość, ukształci roztropność, utrwali stałość; niech będzie gorącą, oględną, niezwyciężoną". Do konfesjonału pierwszy siadał, ostatni wychodził; pomimo, że był katechetą, odbywał najwięcej ekskursyj do kaplic i chorych po wioskach, słowem wszelkie duchowne posługi w parafji najchętniej sam załatwiał. Kazania wszystkie pisał, przykładał się do nich tak, aby wedle zasady św. Augustyna, prawdę poznano, w niej zasmakowano i nią się pobudzano. Mówił bardzo dobrze, stylem prostym, kwiatków nie lubił i nie znosił, a przedewszystkiem poklasku nie szukał.

Szczególniejszą miłością i opieką otaczał siedm kościółków w obrębie parafji jezierzańskiej, zbudowanych zachodem konfratrów naszych. Wybierając się do nich na ekskursję, stale woził ze sobą różańce, książki do nabożeństwa, śpiewniki, katechizmy, broszury oświatowe i katolickie pisemka perjodyczne, któremi hojnie zasypywał lud wiejski. Skrzętnie zbierał grosz, aby rok rocznie coś nowego do domów Bożych zakupić, w czasie słynnych jarmarków w Ułaszkowcach. Wiele kościołów parafjalnych mogło pozazdrościć bogactwa w sprzętach i ozdobach kaplicom, któremi śp. ks. Franciszek się opiekował. We wszystkich prowadził wzorowo bractwa i śpiew, którego sam uczył. Nigdy siebie zwłaszcza w czasie ekskursji nie oszczędzał, oddając wszystek czas na posługę duchowną ludowi, który się doń garnął nawet z wiosek należących do parafij sąsiednich, wszyscy uważali go za swego ojca, przyjaciela, opiekuna i powiernika. Znał on też wszystkich z imienia i nazwiska, znał ich życie i stosunki, zajmowały go wszystkie ich interesa duchowe i doczesne, dzielił ich radości i smutki. Zwykle w jednym dniu robił ekskursje do dwóch wiosek, przeto do domu wracał dopiero wieczorem, wtedy cichaczem wchodził do swego pomieszkania, aby ukryć swój znój i trud przed drugimi. Podolskie błota i zimna są przysłowiowe, to też trzeba było ks. Franciszka widzieć w porze jesiennej, wiosennej lub zi-

mowej! Wracał cały błotem okryty, lub skostniały od zimna i wichrów i oczywiście na czczo. Takich to ekskursyj ma śp. ks. Franciszek zapisanych w księgach jezierzańskich kilkanaście tysięcy. To najpiękniejszy jego duchowy dorobek, z którym przed niebieskim Włodarzem stanął.

Różnorodny nawał pracy nie pozwalał mu na bywanie gdzieś dla rozrywki towarzyskiej, zwłaszcza po sąsiednich dworach. Bywał tam nader rzadko i wówczas obecność jego wywierała na gości niezwykły urok; w twarzy jego, ascetycznej i bladej z wejrzenia, malowała się słodycz dobroci i uśmiechu; w obcowaniu był towarzyski, rozmowny, nieraz dowcipny.

W jednym dworze mieszkał bogacz, kawaler stary którego możnaby porównać z owym ewangelicznym bogaczem, zagrzebanym tylko w doczesności, w dostatkach i w tem wszystkiem, co zwykle dostatek w dom sprowadza. Księży i kościoła unikał i był przysłowiowym w okolicy, sknerą. Śp. ks. Franciszek ujął go sobie do tego stopnia, że swym wpływem wypędził z jego domu zgorszenie i niecnotę, pociągnął go do Boga, kościoła i konfesjonału; zawarł z nim zażyłą przyjaźń i stał się dlań prawdziwym Aniołem stróżem. Na odwrót, ów osławiony bogacz i sknera, tak pokochał ks. Franciszka, że w ścisłym tego słowa znaczeniu uważał go za swego proboszcza, chciał go nawet nakłonić do osiedlenia się w jego dobrach, ofiarując mu sutą dotację. Dzięki ks. Franciszka wpływom, ten przysłowiowy skąpiec zapisał znaczną, na ówczesne czasy, sumę na utworzenie samodzielnej ekspozytury w D., oraz dom i pole na otwarcie ochronki polskiej. W czasie ostatniej choroby, pełnił w jego domu ks. Franciszek posługi Bonifratra i pojednał go z Bogiem.

Wspomniałem wyżej, że śp. ks. Franciszek był zarówno kochany tak przez Polaków jak Rusinów, jednak obrządku gr. kat. nie cierpiał, nie widząc w jego przedstawicielach ani żywej wiary, ani troskliwości o domy Boże, ani gorliwości pasterskiej. Cieszył się więc, gdy udało mu się kogo na obrządek łać. przyjąć, strzegł natomiast jak oka

w głowie, każdej owieczki swojej. Zwalczał śluby mięszane, wiedząc z doświadczenia, jakie stąd smutne następstwa płyną dla Polaków, kresy zamieszkujących. Pilnie wyszukiwał nieprawnie przez księży ruskich na gr. kat. obrządek chrzczone dzieci i do ksiąg kościelnych wpisywał. W jednej z wiosek miał rolnik K. jedynaczkę córkę, której tak się złożyły warunki, że miała za Rusina wyjść za mąż. Ks. Franciszek nie mógł się jednak z tą myślą pogodzić. Cóż więc robi? Oto skłonił nowożeńca do zmiany obrządku. Wyszły więc zapowiedzi, ślub ma się odbyć w kościele, tak pomnoży się parafja o jedno piękne stadło małżeńskie. Ale ksiądz ruski nie dał za wygrane. Za pośrednictwem gr. kat. Ordynarjatu przychodzi w przeddzień ślubu telegram: ślub K. wstrzymać aż do dalszej decyzji! Ksiądz ruski chciał tę okazję wykorzystać, posławszy bowiem djaka do nowożeńców, zakomunikował im, że rano niech przyjdą do cerkwi, a on ich związek pobłogosławi. Ale i ks. Franciszek miał mężów zaufania w każdej wiosce. Jeden z nich przybywa o świcie, donosząc mu o zamachu *otca duchownoho światoji cerkwy*. Nie mógł pojechać sam z powodu obecności inspektora szkolnego, ale poprosił kolegę, by księdza ruskiego wyprzedzić, ślub pobłogosławić. Rzeczywiście, ślub odbył się w kaplicy, a ks. Franciszek po szkole pojechał na wieś do nowożeńców na ucztę.

Duchowieństwo kondekanalne serdecznie kochało śp. ks. Franciszka, zowiąc go nie inaczej, jak tylko „perłą dekanatu". Był on jednak przedewszystkiem znakomitym wychowawcą młodzieży i katechetą z powołania. Cicero, książę wymowy rzymskiej, powiedział: „żadnej lepszej przysługi nie możemy wyświadczyć Rzeczypospolitej, jak nauczaniem i kształceniem młodzieży". Te niepospolite usługi oddawał ks. Franciszek Kościołowi i Ojczyźnie przez lat dwadzieścia. Był katechetą zawodowym o fachowem wykształceniu, z którem łączył głęboką wiarę i pobożność, zamiłowanie do wykładanego przedmiotu i miłość ku dzieciom, gorliwość, wytrwałość i takt ze zgodnem współpracowaniem ze świe-

ckimi nauczycielami. Ucząc, wychowywał równocześnie, zachęcał do cnoty, a odwodził od złego. Znał wszystkie grzeszki i psoty młodzieży i te w tak żywych przedstawiał barwach, iż zdawało się dziatwie. że ją podpatrywał, że przynosił je w zanadrzu, gdzieś z zapiecka rodziców lub z pola. Przynosił książki i rozdawał je, czem nie mało pobudzał serca młodociane do dobrego. Któż znowu wypowie jego miłość do młodzieży? Żył jej ideałami, jej światem był wśród niej w swym żywiole, rozkoszował się w tej atmosferze niewinności. W mieście czy na wsi otaczał się wiankiem dziatwy, bez niej żyć nie mógł. Niech zresztą świadczą fakta. Kiedy w czasie wojny światowej, Moskale zajęli Podole, o nauce w szkołach mowy być nie mogło. Wobec tego zbierał dziatwę u siebie lub pod kościołem i pod pozorem, że uczy tylko religji, uczył także czytać pisać i rachować. Dowiedzieli się o tem pod koniec Moskale i wkrótce przyszli zobaczyć, czy tak jest. Byli w czasie tej wizyty grzeczni, a inspektor obiecał mu nawet przysłać jakąś bomaszkę z pozwoleniem na dalszą naukę; w rzeczywistości wizyta miała mieć daleko smutniejsze następstwa, którym rewolucja i nagły odwrót przeszkodził. Uczył także w czasie zamachu ukraińskiego aż do wydania przez rząd Petruszewicza zakazu wszelkich szkół prywatnych, zwłaszcza polskich. Władze kościelne i szkolne darzyły go wielkiem uznaniem i pochwałami, ale ks. Franciszek nie dla ludzkiego poklasku, lecz dla dobra Kościoła i Ojczyzny młodzież wychowywał. Wpływ na dziatwę wywierał nadzwyczajny, dowodem tego był liczny zastęp wzorowej młodzieży starszej, skupiającej się w Stowarzyszeniu św. Stanisława Kostki, oraz cały szereg dobranych stadeł małżeńskich w Jezierzańskiej parafji, wychowanych pod jego okiem.

W końcu należy podnieść jego ruchliwą pracę w konferencji św. Wincentego; był on w niej prawdziwym orędownikiem ubogich całej parafji. Sam dla nich żebrał po dworach o opał na zimę, swym zachodem starał się dla nich o gwiazdkę i święcone, a w czasie choroby o opiekę Sióstr

Służebniczek. Biedni przychodzili doń co tygodnia w dniu oznaczonym po jałmużnę, przy tej sposobności pytał katechizmu, musieli odmówić pacierz, pilnował, aby zawsze w niedziele i święta wysłuchali Mszy św. Prócz tego jeździł na konferencje św. Wincentego do Borszczowa i Bilcza Złotego. Jako członek znakomicie prosperującego Banku polskiego w Jezierzanach, stawiał wnioski z pomyślnym rezultatem o przyznawanie większych subsydjów Konferencji św. Wincentego, Kołu Tow. Szkoły Lud. w Tarnopolu, Stowarzyszeniu św. Stanisława Kostki i Czytelni polskiej w Jezierzanach, którą latami kierował. Dzięki także jego wpływom stanął w Jezierzanach ludowy dom polski, czytelnia w Zalesiu, Dawidkowcach, oraz bibljoteczki ludowe w ochronach Sióstr Służebniczek na Konstancji i w Zielińcach.

Prace i przejścia, jakie przeżywał ks. Franciszek podczas wojny światowej i ukraińskiego zamachu, są opisane w korespondencjach „Roczników“, więc ich na tem miejscu nie powtarzam. (R. 1920, str. 49 — 53).

IV.

U steru. Praca w czasie epidemji. Śmierć.

Jakób, przystawszy do Labana, pracował niezmordowanie, przeto rozstając się z nim, mógł mu oświadczyć: „Wiesz, jakom ci służył, że dobytek twój rósł w rękach moich; we dnie i w nocy cierpiałem gorąco i zimno i nie postawał sen na oczach moich“. W podobny sposób mógł ks. Franciszek mówić do trzech superjorów, którym kolejno podlegał. Służył im wiernie z jednakowem poświęceniem i przychylnością, przestrzegając przytem tę regułę nadewszystko: „nikt cudzej, zwłaszcza przełożonych sławy, by też najmniej, nie będzie tykał, ani przeciwko nim szemrał“. Otóż ostatni jego superjor, ks. J. Rossmann, został powołany na równorzędne stanowisko do domu św. Kazimierza we Lwowie, a ks. Franciszkowi poruczono w lipcu 1917 r. superjorstwo i zarząd parafji w Jezierzanach. Ta godność nie była czem innem, jak tylko najsłuszniejszem uznaniem zasług

jego, a jednak przyjął ją jedynie z posłuszeństwa. Jako superjor domu szedł za radą Mędrca: „przełożonym cię uczyniono, nie wynoś się, bądź między nimi jako jeden z nich". Uważał siebie, jako *indigne primus*, zresztą w tej chwili władza jego rozciągała się tylko na jednego schorzałego kapłana i braciszka. Do minimum zredukowano więc pracowników tego domu, który prócz obsługi kościoła parafjalnego, miał w obrębie parafji sześć innych kościołów, dwa domy Sióstr Służebniczek, kaplicę książąt Sapiehów w Bilczu Złotem, oraz ośm szkół. Dawniej mieszkało tam czterech do ośmiu księży, tam uczyła się i zaprawiała do pracy parafjalnej i misjonarskiej dzisiejsza starsza generacja. Ona to doprowadziła parafję do świetnego rozkwitu, do najwzorowszej na małopolskiem Podolu. Dom Zgromadzenia w Jezierzanach miał dotychczas najchlubniejszą kartę zapisaną w dziejach rozwoju prowincji małopolskiej.

Otóż teraz stanął ks. Franciszek, mówiąc prawdę, sam jeden przy wielkim warstacie; o pomoc zrazu nie prosił, ofiarowanej nie przyjął, tłómacząc się tem, że czasy są jeszcze niepewne, że grasują straszne epidemje, a nuż ktoś z młodszych padnie ich ofiarą, wtedy spadnie nań cała odpowiedzialność, więc lepiej będzie, mawiał „jeszcze się trochę naciągnąć, a potem jak Bóg da". Chciał w parafji sam jeden »*deificare homines*«, chciał sam jeden, jako doskonale z warunkami obeznany, leczyć rany parafji, zadane inwazją rosyjską i ustawicznymi przemarszami wojsk państw centralnych, stokroć bardziej wrogich polskiemu żywiołowi, aniżeli osławione armje rosyjskie. Ks. Franciszkowi trzeba się było teraz tem bardziej naciągnąć, że ludność wiejska, niepewna o swój dobytek, domagała się bezwzględnie, pomimo braku księży, posług duchownych w kaplicach wiosek swoich. W tych ogromnie ciężkich warunkach pojmował on zadanie swoje, jako ruch nieustanny w granicach parafji, aby ją otaczać bez przerwy pierścieniem ojcowskiej opieki i pasterskich starań. Więc jego życie, jego czyny stają się teraz, w ścisłem znaczeniu, owem skrzydłem macierzyńskiem, które

obejmuje całą okolicę. Ręce jego piastują każdą duszę sobie powierzoną, jego serce wylewa się na wszystkich, jego troską jest, aby wszystkich ogarnąć; jego myśli, uczucia, niepokoje i starania były owo siecią miłosną, którą obejmował wszystkich i każdego z osobna. A w tych zabiegach był skazany wyłącznie na siły własne! Być może, że niebawem żałował tego, że się nie zgodził zrazu na przysłanie pomocnika. W tym czasie żali się w listach na to, że został w tym zakątku już tylko sam jeden z liczby tych, z którymi lat tyle współpracował. „Pochowałem — pisze — szesnastu bliższych i dalszych sąsiadów, zabrakło mi przy boku dawnych weteranów i wytrawnych“. Rzeczywiście, w ciągu wojny, wymarli wszyscy księża kondekanalni, w niektórych parafjach wymarli nawet ich następcy. Wprawdzie przybywali nowi, którzy, rychło poznawszy drzewo po owocach, otoczyli ks. Franciszka, senjora w dekanacie, nie mniejszą czcią i miłością braterską od swych poprzedników, również i on zżył się z nimi i pokochał ich serdecznie, zwłaszcza księży Kołodzieja i Wyczesanego, ale mimo wszystko pamiętał czasy lepsze, pomyślniejsze, do nich wzdychał.

Pracując bez wytchnienia jako proboszcz, nie spuści z oka ani na chwilę swych najukochańszych dzieci. Szkoły były również pozamykane za powrotem wojsk austrjackich, wobec tego, pilnując, aby dziatwa wiejska kształciła się pod opieką Sióstr Służebniczek, sam uczył na plebanji młodzież miejscową i to bez różnicy narodowości. W czasie skwarnego lata, zawiadomił go jeden z kolegów, że go odwiedzi. Czy ks. Franciszek powitał go na dworcu? Gdzież tam! Uczył w najlepsze dziatwę wśród skwarnych wakacyj! Na zrobioną wymówkę, powiedział: „człowiecze, byłem po ciebie wczoraj, dziś pójść już nie mogłem, bo widzisz, dzieciby mi zupełnie zdziczały, gdybym ich nie gromadził, nie uczył“. To rzekłszy, odprowadził kolegę do pokoju, a sam wrócił do dziatwy, ucząc ją do godziny dwunastej. Oczywiście, uczył wszystkich przedmiotów, objętych planem szkolnym, nawet języka ruskiego. Który z proboszczów lub katechetów

posunął swą gorliwość aż do takiego poświęcenia i zaparcia się w czasie wakacyj? Ks. Franciszek tak pracował nad dziatwą przez cały czas wojny!

W 1920 r. bierze udział w konwencie prowincjonalnym; po upływie lat dwudziestu ujrzał go ogół konfratrów krakowskich po raz pierwszy! Młodsi pytali się: kto to? Starsi, co przybyli z prowincji, którym praca, ząb czasu i wojna dały się mocno we znaki, mówili: jeden Franuś się nie zmienił, taki sam, jak przed laty, po wyświęceniu. Widzieliśmy go wówczas po raz ostatni.

Na całem Podolu szerzyły się w zatrważający sposób choroby nagminne, zwłaszcza tyfus plamisty i dyzenterja. Na próżno siliłbym się opisać całą grozę epidemji i położenie nieszczęsnych jej ofiar po wioskach, będących po opuszczeniu ich przez wojska stekiem wszelkich chorób zakaźnych. Obraz jej, skreślony mistrzowskiem piórem Słowackiego w „Ojcu zadżumionych" dalekim jest od nagiej rzeczywistości. Prawda, że:

"Śmierć od zarazy, ach, to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
Potem cię ogień pali, piersi gorą"...

Ale kto opisze zarazę samą, która, jak powódź bezbrzeżna, wobec braku lekarzy, lekarstw i znajomości najprymitywniejszych zasad higjeny, nigdzie nie znajdując zapory, zagląda do każdego domu, wszędzie zabiera ofiarę po ofierze? Ach, ileż to razy, gdy anioł śmierci wstąpi raz po raz pod strzechę, zdaje ci się słyszeć nieszczęsnego rodzica słowa:

„Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,
Już omdlałego na boleści świeże,
Już mówiącego: niech Bóg wszystko bierze"...

Ileż znów razy, ot sieroty, które co dopiero ławę szkolną opuściły, własnemi rączętami spuszczają do grobu ostatniego rodzica, bo sierocie nikt z pomocą nie przyjdzie, tem bardziej, że to, co jeszcze przy życiu, ukrywa się, „śmierć przed samą śmiercią udaje, myśląc, jak powiada poeta, że Boga oszuka w niebie, że się tymczasem bałwan śmierci przewali".

Oto żałosne sceny, które przesuwają się codziennie przed oczyma duszpasterza, którego owczarnię złowroga epidemja nachodzi. Ale, czy to już wszystko? Bynajmniej! To epilog! Nim bowiem zaraza do snu śmierci ukołysała swą ofiarę, duszpasterz jednał ją z Bogiem w domu, kędy stek zarazków i robactwa już czyha na nową ofiarę.

Już od jesieni 1919 r. dziesiątkowała epidemja w straszliwy sposób jezierzańską parafję. Wsie zalegały lamentem bezradnych rodziców i płaczem opuszczonych i zgłodniałych sierót, wiele domów pozamykano, bo ich mieszkańcy wymarli. Ks. Franciszek, istny „Ojciec zadżumionych", stał przy łożach chorych dniem i nocą, głodnych karmił, sieroty przyodziewał w dary amerykańskie, chorym podawał lekarstwa, umierających jednał z Bogiem. Na domiar nieszczęścia, epidemja przerzedza i tak nie liczny już zastęp kapłanów, np. w jednym tylko tygodniu zmarło w sąsiedzkich parafjach siedmiu księży unickich; towarzysza ks. Słupinę kładzie choroba na dwa miesiące do łóżka, ks. Kołodziej z Głęboczka, najbliższy sąsiad, zapadł również na tyfus plamisty. Pomijając dwóch schorzałych księży ruskich był ks. Franciszek sam jeden dla obsługi chorych obu obrządków wiernych, zamieszkujących miasto, dziesięć wsi, wojskowego szpitala epidemicznego, mieszczącego się w plebańskich budynkach, oraz całej parafji głębockiej. Wszędzie jednak pracuje z nadludzkim wysiłkiem, jakoby słyszał owe naglące słowa Pawła św.: *in omnibus labora!* Jak ta praca wyglądała, niech świadczy opis dnia jednego: „O godz. $11^1/_2$ w nocy — tak pisał mi świadek naoczny — zbudzono go i pojechał do Tarnawki (5 klm.). Przyjechał o godz. 3-ciej rano, ledwo się położył o godz. $3^1/_2$ już znowu wezwano go do Piłatkowiec (4 km.). Wrócił o godz. 7 i zaraz przesiadł się na inną oczekującą go furę z Bilcza Złotego (16 km.). Wrócił o godzinie 2 po południu. Stojąc, trochę się posilił i zaraz znowu pojechał na pogrzeb do Zalesia (8 km.), opatrzywszy po drodze kilku chorych; wrócił na godz. 8-mą wieczór do Jezierzan, gdzie jeszcze pogrzeb odprawił". Ile to podobnych dni przeżywał

co tygodnia! Slusznie zauważa Döllinger: *l'homme ne meurt pas, il se tue.* Ks. Franciszek rzeczywiście się zabijał, chcąc być całopalną ofiarą kapłańskiej gorliwości i misjonarzem tej miary, jakimi byli ci, których św. Wincenty posyłał na Madagaskar i do Lotaryngji.

Po upływie kilku miesięcy wśród tak wyczerpującej pracy, widać było, że targa swe serce i życie. Prosi więc już teraz o przysłanie mu pomocnika, który jednak dopiero po upływie półtora miesiąca od wysłania prośby do Jezierzan przybył. W listach pisanych w tym czasie przebija się niepokój i kończy każdy słowy: „nim list ten otrzymasz, nie wiem co się ze mną stanie, bo tyfus plamisty coraz się więcej wzmaga". Z korespondencji jego odnosiło się wrażenie, że stoi jak sternik na pokładzie okrętu, który się zanurza coraz głębiej w bezdenną przepaść morza, a jednak, niepomny na los własny, pomaga z nadludzkim wysiłkiem rozbitkom lądować do przystani.

W pogodny dzień 15 marca 1920 r. doręczono nam telegram tej treści: „ks. Franciszek Wrodarczyk po krótkiej chorobie umarł. Pogrzeb odbędzie się 17 bm." Usta nam oniemiały, oczy łzami zaszły, duszę żal ścisnął; chociaż staliśmy wobec żałosnej rzeczywistości, serce kłam zadać chciało rozumowi. Przysłane niebawem wiadomości potwierdziły już tylko przypuszczenia, że tyfus plamisty zażądał od Zgromadzenia nowej bolesnej ofiary. Jak życie całe śp. ks. Franciszka było jednym wielkim i świętym aktem poświęceń, tak znowu śmierć jego była prawdziwie bohaterską hetakombą żołnierza Chrystusowego, ginącego na posterunku. Oto jej szczegóły: Już 4-go marca dostał gorączki tyfoidalnej; chcąc ją ukryć, mówił, że czuje się tylko trochę ociążałym, sennym i zdenerwowanym; mimo to pojechał do Tłustego (15 km.) w jakiejś osobistej sprawie do ks. dziekana Adamczyka. Nie przypuszczał zapewne jeden i drugi, że niebawem, prawie równocześnie, bo tylko o jeden dzień różnicy, spoczną w grobie. Dnia 6-go marca pojechał w strasznej słocie do Szmańkowczyk na dworzec (26 km.)

skąd eksportował zwłoki śp. Horodyskiej do Kolędzian. Na drugi dzień w niedzielę, odbył zwykłą ekskursję do Kolędzian (14 km.), poczem po sumie, odprowadził zwłoki śp. Horodyskiej do rodzinnego grobowca. Następnie pojechał do Dawidkowiec (6 km.) a stąd do Zalesia (8 km.), tak w jednej jak i drugiej wiosce odprawił pogrzeb. Były to ostatnie jego posługi duszpasterskie. Wróciwszy późnem wieczorem do domu, położył się mając 40⁰ gorączki W poniedziałek przeleżał, a już we wtorek rwał się do pracy, odprawił Mszę św. w kościele, ale tak osłabł, że organista przyniósł go do pokoju, a zawezwany lekarz skonstantował tyfus plamisty i zapalenie płuc. Siostry Służebniczki z Zieliniec otoczyły chorego iście macierzyńską opieką. We środę 10-go marca poprosił o udzielenie mu ostatnich Sakramentów świętych, które przyjął z wielkim przejęciem, wiarą żywą i kornem poddaniem się woli Bożej. Po krótkiej modlitwie i odnowieniu ślubów świętych, stracił przytomność, której już nie odzyskał. Duchowną posługę pełnił przy łożu chorego, kuzyn jego, ks. Józef Wrodarczyk. W niedzielę rano rozpoczęła się agonja, a 15-go marca, w poniedziałek odszedł od nas po zapłatę do Pana, w porze, kiedy zwyczajnie na żnojną pracę wyruszał. Odwołał go Pan Bóg od żniwa w połowicy dni jego pracy, tj. wtenczas, kiedy przeciętny śmiertelnik najmniej jest sposobny do składania przed Bogiem liczby z włodarstwa swojego, gdyż praca wielu dzieł, dopiero rozpoczęta, na polu zasług jeszcze nie ma zbioru bo plony nie dojrzały. Wszelako śp. ks. Franciszek, choć rozstał się z życiem w sile wieku, niósł przed tron Boży obfite zasług snopy. Czyż bowiem od życia zarania nie wzrastał w ową „mądrość z góry", jak powiada św. Jakób Apostoł, która jest czysta, potem spokojna, skromna, przyzwalająca dobru, pełna owoców dobrych? (Jac. 3. 17.) Czyż jako najwierniejszy syn św. Wincentego nie żył wyłącznie jego gorącością ducha, świętością jego reguł, wszechstronnością jego dzieł? Czyż wreszcie, jako kapłan szukał w życiu swojem czegokolwiek po-

za chwałą Bożą i dusz zbawieniem? Czy choć na dzień, na chwilę na śmiertelnej pościeli zapomniał o ślubie swym, „całe życie moje pracować będę nad zbawieniem biednych wieśniaków“?

Pewnego razu pytał się lud wybrany Saula: *Ergone Jonathas morietur, qui fecit salutem hanc magnam?* Ażali Jonatas zginie, który uczynił zbawienie tak wielkie? *Hoc nefas est, quia cum Domino operatus est!* To niesłuszna, bo z Bogiem czynił. Podobnie, opłakując śmierć śp. ks. Franciszka, pociesza nas owa nieomylna obietnica, dana przez Boga: „którzy ku sprawiedliwości wprawiają wielu, świecić będą, jako gwiazdy na wieki wieczne“. (Dan. 12. 3).

Co się tymczasem działo w parafji po zgonie śp. ks. Franciszka, jaka ją zaległa żałoba, niech świadczą następujące słowa, wyjęte z listu jego uczenicy, pisanego do rodzonej siostry w Zgromadzeniu Sióstr Miłosierdzia: „Donoszę ci bardzo smutną wiadomość, a to, że nielitościwa śmierć zabrała z pośród nas najukochańszego naszego ks. Superjora. Pan Bóg zabrał sługę swojego, aby odebrał zapłatę za swoje prace i trudy, o, bo ten święty kapłan pracował z takiem poświęceniem się siebie, że każdy budował się jego świątobliwością i zaparciem. A dziś cała parafja zebrała się w tym kościele, w którym on przez dwadzieścia lat pracował, aby mu oddać ostatnią przysługę i nie było takiego człowieka, żeby rzewnemi nie zapłakał łzami. A dzieci! Te jego dziatki najukochańsze, płakały tak głośno, że się zdawało, że mury kościoła się rozchodzą. Ach, jak nas Pan Bóg ciężko doświadcza! Jak wielka próżnia zostanie po stracie tego Ojca naszego i przyjaciela! Odszedł, a nas zostawił w nieutulonym smutku i sieroctwie“ — Oto obraz boleści, skreślony ręką dziewczęcia wiejskiego, boleści, rozpierającej serca ogółu, boleści tak gwałtownej, iż wielu żałość tę odchorowało. We wtorek złożono ciało śp. ks. Franciszka w kościele na katafalku, uginającym się od wieńców i girland. We środę 17 marca, od wczesnego poranku, napływały

tłumy wiernych obu obrządków z wszystkich wiosek i parafij okolicznych; kapłani zaś w liczbie siedmiu, wprost z pogrzebu śp. ks. Adamczyka z Tłustego, przenocowawszy w Głęboczku, przybyli ze mszami do Jezierzan na żałobne obrzędy. Ks. Kołacz, proboszcz z Mielnicy, wygłosił mowę żałobną, podnosząc cnoty i świątobliwy żywot śp. ks. Franciszka, oraz wielkie jego zasługi wobec parafji i dekanatu. W czasie przemowy duchowieństwo i lud wszystek rzewnemi łzami opłakiwał zgon bohatera miłości Boga i bliźniego. Po skończonych modłach wzięli kapłani trumnę na ramiona, obnieśli ją wkoło kościoła, poczem ku cmentarzowi ruszył pochód wśród nieprzeliczonego tłumu, zalegającego drogę od kościoła do cmentarza. Wszystkie miejscowości, należące do parafji, złożyły na trumnie wieńce. Duchowieństwo gr. kat. obrządku w pogrzebie nie brało udziału.

Ciało śp. ks. Franciszka, stosownie do nieraz przezeń wyrażonego życzenia, złożono nie w grobowcu obok śp. ks. Wdowickiego, ale w ziemi wśród prostego ludu, który był przez całe jego życie tak bliskim jego sercu. W opinji ogółu umarł *in odore sanctitatis*, a na grobie jego licznie wierni się gromadzą i łzami synowskiej miłości go skrapiają.

Spoczywaj w pokoju po walce za wielu!
Spoczywaj w pokoju, boś stanął u celu!
Jak żołnierz Chrystusa w życiu sławiony,
Bądź też w wieczności błogosławiony!

Wilno 23/VII 1921.

Ks. Piotr Brukwicki.

Ś. p. Siostra Jadwiga Zaleska.

Wizytatorka Sióstr Miłosierdzia prowincji krakowskiej.

Dnia 5 kwietnia 1916 r. dzwon z Kleparza oznajmił żałosną wieść o śmierci śp. S. Wizytatorki Jadwigi Zaleskiej. Wiadomość ta odbiła się bolesnem echem po całej naszej prowincji, gdziekolwiek tylko zdołała się przedrzeć w owym

wojennym czasie. Zewsząd nadsyłano do Domu Centralnego wyrazy serdecznego współczucia i najgłębszego smutku, oraz mnóstwo wspomnień o życiu i cnotach ukochanej zmarłej. Zdawało się, że przepiękny nekrolog o tej prawdziwej Córce Miłosierdzia uwieczni pamięć jej świątobliwego życia, iż na świeżą mogiłę, zroszoną tak obficie łzami Sióstr, ubogich i sierót, rzucona wiązanka będzie naszą pociechą i zachętą do naśladowania. Niestety, czasy wojenne i różne okoliczności, a między innymi to, iż oczekiwano na sposobność zdobycia wiadomości o jej długim pobyciu w Smyrnie, nie dały tego uskutecznić. Minęło już 5 lat od czasu, gdy spodobało się Bogu powołać Swą wierną służebnicę po nagrodę i zapewne ta pokorna sługa ubogich uśmiecha się w niebie, iż stało się zadość jej pokornemu życzeniu, by nic o niej nie pisano. My jednak nie możemy się z tem pogodzić; jest to potrzebą serc, które miały szczęście znać i kochać tę najlepszą matkę, by dziś, gdy już napewno się wie, że nie mogą nadejść żadne notatki ze Smyrny, oddać hołd jej cnotom i z grobu jej uczyć się, jak powinna żyć i umierać dobra Córka Miłosierdzia.

Śp. S. Stanisława Jadwiga Zaleska urodziła się 20 kwietnia 1842 r. w Sandrakach na Podolu, jako córka Ksawerego Lubież-Zaleskiego i Marji z Niedzielskich, ochrzczona 26 kwietnia. Rodzice jej, zamożni właściciele dóbr, ale co ważniejsze, zacni i religijni, wychowywali dzieci starannie i po bożemu, i takie też wychowanie otrzymała S. Jadwiga.

Nie wiemy nic o jej latach dziecięcych, prócz tego, że odebrała wyższe wykształcenie prywatne w domu rodzicielskim i aż do wstąpienia do Zgromadzenia pozostawała pod okiem rodziców. Niewinność i prostota prawdziwie dziecięca, jaką zachowała do końca życia, pozwalają nam osądzić, jak anielskiem było jej dziecięctwo, a miłość i szczególny szacunek, jakim śp. S. Zaleską otaczało zawsze rodzeństwo, odwiedzając ją jako Siostrę Miłosierdzia i zaufanie, którym ją darzyło, dowodzi, iż była wzorem i przykładem w rodzinie.

Wpatrując się w tę młodziuchną panienkę, pełną najpiękniejszych zalet, nie dziwimy się, że oko Boże spoczęło na niej z upodobaniem. Wierna głosowi powołania w 18 roku życia opuszcza ukochaną i kochającą rodzinę, porzuca świat i jego powaby, aby się oddać na służbę P. Jezusowi w osobie ubogich. Gorącość ducha i zapał, ożywiający ją u wstępu na tę drogę Bożą, nie opuściły jej nigdy i po latach wielu, które spędziła w Zgromadzeniu, podziwiało się w sędziwej śp. S. Wizytatorce tę młodość ducha i ukochanie świętego powołania.

Postulat odbyła w Krakowie w szpitalu św. Łazarza, pomagając z całem poświęceniem Siostrom przy usłudze chorym. W sierpniu 1861 r. weszła do Seminarjum, które odbyła z całą gorliwością i pobożnością. Po wzięciu św. sukni posłano ją do domu św. Kazimierza we Lwowie do gospodarstwa. Oddała się swemu urzędowi z całą gorliwością, a miała w nim bardzo wiele trudności. Nieraz na rekreacjach opowiadała z prostotą o swych ówczesnych przygodach; jedno zdarzenie szczególnie zasługuje na wzmiankę, gdyż dowodzi, jak śp. S. Jadwiga zawsze i wszędzie pamiętała o ubogich. Gdy raz w swej nieumiejętności upiekła chleb z zakalcem, płakała rzewnie, iż sieroty będą go jadły, a nie mogąc inaczej tego wynagrodzić, wzięła sobie kawałek tego chleba do refektarza, mówiąc: kiedy przezemnie biedne dzieci taki chleb mają, niech i ja go jem.

Wkrótce powróciła do Domu Centralnego, by pracować w urzędzie przy ubogich. Wspomnienia Sióstr dawnych pozostawiły nam wiele pięknych uwag o jej gorliwości, poświęceniu i miłości dla ubogich. Najniższe i najpodlejsze zajęcia wykonywała z ochotą; znosić ze strychu żywność dla ubogich, pomyje wynosić z pastuchem, szorować pod studnią itp., to wszystko były w jej oczach klejnoty Córki Miłosierdzia. Była przytem tak uczynna i pełna miłości, iż każda Siostra z zaufaniem udawała się do S. Jadwigi o zastępstwo w razie potrzeby, bo wiedziano ogólnie, że żądać od niej posługi, to zrobić jej przyjemność. W pracy i po-

w ęceniu szybko upłynęło pięć lat przygotowania i zbliżała się chwila składania ślubów świętych. Z jakąże miłością i pobożnością złożyła je po raz pierwszy dnia 2-go lutego 1866 roku. Gdy później rok rocznie odnawiała św. śluby, czyniła to zawsze z podziwienia godnem uniesieniem i gorącością serca. Nie było nic rzewniejszego, jak słyszeć śp. S. Zaleską przemawiającą do Sióstr w wigilję renowacji ślubów głosem drżącym od wzruszenia, z głęboką wiarą i pokorą o tej nieocenionej łasce.

Snać Zbawiciel przyjął całopalną ofiarę, bo wkrótce zażądał od Swej oblubienicy jeszcze jednej, a bardzo bolesnej. Od dawna czuła ona głos, powołujący ją na misje zagraniczne. Z prostotą zwierzyła się z tem przełożonym, którzy uznając w tem głos Boży, polecili odnieść się przełożonych wyższych. Mijały jednak tygodnie i miesiące, a S. Zaleskiej nie wzywano, ona tymczasem szczęśliwa w swym urzędzie przy ubogich i cała im oddana, sądziła, iż P. Jezus zadowolnił się jej dobrą wolą.

Stało się inaczej; w dwa lata po św. ślubach niespodziewanie zażądano szybkiego przybycia S. Zaleskiej do Paryża. Było to dla niej bardzo bolesnem. Kochając swych ubogich i swoje towarzyszki i nawzajem kochana, przywiązana do przełożonych prowincji, z żalem żegnać musiała wszystkich, a także miłą Ojczyzną, nie wiedząc czy ją kiedykolwiek ujrzy! Mężna jej dusza nie cofnęła się jednak nigdy w życiu przed żadną ofiarą, nałożoną przez św. posłuszeństwo, zadała więc gwałt swemu wrażliwemu sercu i spokojna, a poddana woli Bożej i ufna w Jego łaskę, wyjechała do Francji dnia 15 września 1868 r. Zaraz w podróży przekonała się, jak Bóg opiekuje się swymi. Nie mogąc na dworcu w Berlinie porozumieć się z woźnicami, stała zmartwiona i bezradna, widząc, że już odjeżdża ostatnia dorożka na drugi o godzinę drogi oddalony dworzec, w tem jakiś nieznajomy (widocznie człowiek uczciwy) spostrzegłszy jej zakłopotanie, ofiarował jej miejsce we własnym powoziku. Nie było innego wyjścia, i S. Zaleska z wielką

bojaźnią wprawdzie, ale z ufnością w opiekę Bożą przyjęła ofiarowaną pomoc. Ów zacny pan umieścił ją następnie wygodnie w wagonie i aż do Paryża nią się opiekował. Był to wysłannik jakiegoś księcia, przygotowujący temuż noclegi; uważała go za zesłanego przez Boga anioła stróża i zawsze się zań modliła.

Wysłana z Francji do Smyrny przepędziła na obczyźnie długie 22 lat. Szkoda wielka, że nie dochowały się z tych lat żadne zapiski, byłyby to wspaniałe karty z tego życia czynnego i pracowitego, pełnego najwznioślejszych cnót. Nieraz ś. p. S. Zaleska opowiadała wiele o tych czasach, ale niewiele o sobie, a raczej nic na swą pochwałę. Wiemy tylko, że zajmowała się apteką, odwiedzała ubogich chorych, opatrywała rany i rwała zęby w ambulatorjum, pielęgnowała chore towarzyszki; wyuczywszy się języka greckiego, uczyła ubogie dzieci katechizmu itp. Kto poznał gorące serce i ofiarność śp. S. Zaleskiej już z lat późniejszych, ten może sobie wyobrazić, jak wielką była pomocą w domu i jakiem zbudowaniem dla tamtejszych towarzyszek; jak wielce zaś była cenioną i kochaną, widzimy z tego, że aż do ostatnich lat życia, póki wojna nie przeszkodziła, prowadziła ożywioną korespondencję z Siostrami smyrneńskiemi.

Szybko upływały S. Jadwidze lata w pracy i poświęceniu, a Bóg przygotowywał jej daleko, bo aż w Ojczyźnie nowe pole do trudów i ofiar. Wezwana do Polski, przybyła do Krakowa dnia 12 lipca 1890 r., jak zawsze mężnie i odważnie oderwawszy się od ukochanych ubogich i towarzyszek, z którymi zżyła się lat tyle. Powierzono jej kierownictwo nowo założonego Domu ubogich św. Anny, fundacji śp. Helclów w Krakowie. Posłuszna i uległa z pokorą objęła nowe swe obowiązki i włożyła w nie całą swą duszę. Pracy było wiele, nie brakło i trudności, jak przy każdem dziele bożem. Siostra Przełożona przodowała wszystkim, nie uchylając się od żadnego zajęcia, świecąc przykładem wysokich cnót, zachęcając miłą a serdeczną uprzejmością.

Ktokolwiek znał Siostrę Zaleską, musiał ją poważać i kochać. Jej serce kochające, szerokie, miłosierne, ogarniało wszelką nędzę, tak fizyczną jak moralną; to też nikt nie odszedł od niej bez pociechy i pomocy. Niewiem, czy może być milszy stosunek jaki zachodził między tą zacną przełożoną a podwładnymi. Dom cały był jedną kochającą się rodziną, której duszą była S. Zaleska. Jedynym celem tej dobrej chrześcijanki to chwała Boga — widziała Go duchem w każdym z powierzonych jej pieczy bliźnich. Opowiada jedna Siostra: Kiedy przybyłyśmy do Zakładu Helclów, a prawie żadna z nas nie umiała służyć chorym, nasza Siostra starsza sama uczyła nas opatrywać rany, umarłych sama ubierała, upominając, byśmy, oddając im tę usługę, przypominały sobie P. Jezusa zdjętego z krzyża, uczniów i święte niewiasty, z jakiem nabożeństwem oni to czynili. Zawsze miałyśmy to w pamięci i nauczyło się służbę, że z powagą i milczeniem ubierali umarłych.

Wiele miała cierpliwości z Siostrami przykrego charakteru i wszystko z ich strony znosiła, jeżeli tylko dobrze służyły chorym; Siostrom, narzekającym na tego rodzaju przykre towarzyszki mówiła: „Patrzcie na nie w duchu wiary, jak one dobrze służą ubogim, wszak miłosierdzie pokrywa mnóstwo grzechów". Zdarzało się, że czasem między chorymi były jednostki niewdzięczne, gburowate, gdyśmy się na nie skarżyły i gniewały, dobra nasza matka zalecała nam milczenie, a sama starała się, by im było jak najlepiej, przepraszając tych chorych, jak gdyby rzeczywiście była z naszej strony wina. Ubodzy nieuleczalni staruszkowie mieli zawsze każdej chwili wolny wstęp do izdebki S. Przełożonej, przychodzili też z zaufaniem, a ona choćby najbardziej zajęta, przyjmowała ich serdecznie, z pobłażliwym matczynym uśmiechem słuchała ich skarg i utyskiwań i odchodzili zadowoleni. Starała się o potrzeby doczesne ubogich, sama smażyła soki i konfitury dla ciężko chorych, których codzień odwiedzała, najpierwsze owoce z ogrodu były dla nich, Siostrom, pielęgnującym suchotników, dawała osobne pieniądze by miały

na wszelkie ich zachcianki. A jak troszczyła się o duchowne potrzeby ubogich! Niepocieszoną była, gdy który odrzucał pociechy religijne, wówczas to gorliwość jej nie szczędziła niczego, nie spoczęła, póki marnotrawny syn nie pojednał się z Panem Bogiem, a wtenczas radość tej dobrej matki nie miała granic. Każdy pogrzeb ubogich odprowadzała do ul. Warszawskiej mimo utrudzenia i braku czasu, a zawsze z koroną w ręku i zachęcając chorych do odmawiania różańca za zmarłych towarzyszy. Kochali ją też i uwielbiali ubodzy, i dziś, po tylu latach, ci, co jeszcze żyją z tych czasów, ze łzami wspominają ukochaną matkę przełożoną.

Jak wielką miłością otaczała swoje towarzyszki, trudno to opisać — trzeba było samej na sobie doświadczyć jej dobroci, by umieć ocenić tę przezacną siostrę służebną. Nie pozwoliła sobie nigdy na to, by czynić różnicę między Siostrami, wszystkie kochała jednakowo, chyba, że większej niejako miłości i pieczołowitości doznawały te, które jej wyrządzały przykrość swemi wadami lub złą wolą, gdyż płacić dobrem za złe, to była rzecz zwyczajna u naszej ukochanej siostry starszej; owszem, jeżeli jej kto dokuczył, nabywał prawa do jej serca. Dziwna delikatność w obchodzeniu się z Siostrami posuniętą była do szczytu cnoty; obok stanowczości nigdy nie wymknęło się jej słowo „ja rozkazuję", ale najmłodszej towarzyszce, nawet postulantce, dawała rozporządzenia przez „proszę", za najmniejszą usługę uprzejmie dziękując. W każdej chwili, nawet bez ważnej potrzeby, można było wejść, przerwać jej czynności, choćby najważniejsze; szło się bez żadnej obawy, że okaże niezadowolenie, ależ ona nie umiałaby okazać się niezadowoloną wobec swych „dzieci", jak nas stale nazywała, owszem cieszyła się gdy się do niej przychodziło i słuchała zawsze z twarzą pogodną i z miłością iście matczyną. Czegóż jej szlachetne serce nie czyniło, gdy rodzina którejś z towarzyszek przybyła w odwiedziny, taką serdeczną, iście staropolską okazywała gościnność, że obie strony do łez rozczulała.

Na rekreacjach było się zawsze jak w kółku rodzinnem, nie czuło się żadnego skrępowania; owszem można było z Siostrą Zaleską pożartować, nacieszyć się, ubawić jak z równą sobie, bo ta prawdziwa Córka św. Wincentego nie umiała się obrażać ani okazywać swej wyższości. Chore Siostry otaczała najczulszem matczynem staraniem, uważając je za błogosławieństwo Boże. Dla postulantek była prawdziwą matką, wdrażała je łagodnie a stanowczo do życia w Zgromadzeniu. Najtrudniejsze nawet charaktery umiała ująć i opanować. Służbę domową miała też w szczególniejszej pieczy; co miesiąc przy wypłacie z każdym z osobna się widziała i wtedy zachęcała do cnoty i sumiennego wypełniania obowiązków. Za jej staraniem założono między służbą Stowarzyszenie Dzieci Marji, i cieszyła się, że odkąd są Dzieci Marji, ubodzy są lepiej obsłużeni. Zawsze i wszędzie tej pobożnej i zacnej Siostrze Starszej leżała na sercu chwała Boża i zbawienie dusz; sama mówiła, że codzień się modli o to, by w domu nie było śmiertelnego grzechu. Trudno wyrazić nieudolnymi słowy czem była S. Zaleska jako Przełożona Zakładu Helclów, niepodobna w tych kilku zarysach objąć tych kilkanaście lat ubiegłych w ciągłej pracy i trudzie, w praktykowaniu wielu cnót, wśród krzyżów i przykrości. ale niejedna z dusz, które miały szczęście znać ją bliżej i żyć pod jej roztropnym, a pełnym miłości kierownictwem, dziękuje P. Jezusowi za tę łaskę.

W tem nagle, jak grom z jasnego nieba, pada w to kochające się kółko rodzinne wiadomość o zamianowaniu S. Zaleskiej w r. 1905 na Wizytatorkę prowincji krakowskiej po śmierci czcigodnej i nieodżałowanej śp. S. Juhel. Ubodzy płakali, że tracą najlepszą matkę i opiekunkę — Siostry ukochaną siostrę służebną, a ona, jak zwykle pokorna, uległa i mężna, choć łzami zalana, pocieszała swe dzieci, wskazując na krzyż i wolę Bożą. Sama zaś dawała wzniosły przykład tego poddania się św. woli Bożej, bo mogąc przedstawić Przełożonym, że w tym wieku i z takiem zdrowiem nie podoła ciężkiemu brzemieniu, nie uczyniła tego, lecz mówiła:

„Woli Bożej nie będę się sprzeciwiać, Pan Jezus przybił mnie do krzyża, pozostanę na nim, aż mnie Sam zdjąć zechce“. Tych 11 lat przeżytych na urzędzie Wizytatorki, to lata prawdziwego męczeństwa: odpowiedzialność przygniatała ją i trwożyła, pokora kazała mniemać, iż nieudolnie wypełnia swe obowiązki, wrażliwe serce odczuwało głęboko wszystkie przykrości nieodłączne od tego stanowiska. Jednakże mężna ta niewiasta, wyćwiczona dawno w szkole Chrystusowej, umiała cierpieć w milczeniu i nikt nie mógł nigdy wyczytać z pogodnej i uprzejmej twarzy, ile cierpiała; z ust śp. S. Wizytatorki nie wysunęła się nigdy skarga, czasem tylko wyrwało się głębokie westchnienie i te słowa ulubione: „Panie ratuj“. Chciał też Pan postawić to światło na świeczniku, by wielu duszom świeciło i wskazywało drogę do żywota. Liczne, a budujące uwagi Sióst nadesłane po śmierci śp. Siostry Wizytatorki dowodzą, jakiemi jaśniała cnotami.

Charakterystycznym rysem tej wielkiej duszy była głęboka wiara i ufność w Bogu, zaczem szła i gorąca miłość.

Gruntownie pobożna, ćwiczeń pobożnych, mimo rozlicznych zajęć, nigdy nie opuszczała, a głos jej pełen powagi i namaszczenia, z jakim odmawiała wspólne modlitwy, pobudzał do pobożności. Kochała gorąco i wielbiła Przenajśw. Sakrament, a ożywiona wielkim duchem wiary w Tę Najśw. Tajemnicę żywiła najgłębszą cześć dla kapłanów, jako dla piastunów Jezusa. Ten ogień miłości Bożej, jaki czerpała z Komunji św., chciała widzieć we wszystkich Siostrach, to też bardzo ją zasmucało, gdy się spotkała z obojętnością i niedbalstwem w przystępowaniu do Komunji św. i nie było, zda się, ofiary, którejby nie poniosła, byleby Jezus w Hostji królował w duszach jej pieczy poruczonych. W ciężkich chwilach życia szukała ulgi i pociechy u stóp ołtarza i Siostrom tak czynić zalecała.

Miała wielkie nabożeństwo do Najśw. Panny, cześć i miłość ku Niej szerzyła gorliwie; na początku wojny ofiarowała wszystkie Siostry i dzieła w opiekę Tej naszej Niepokalanej Matce i nie zawiodła się.

Jednogłośnie podnoszą Siostry wielką miłość śp. S. Wizytatorki dla bliźnich, a w szczególności dla Sióstr Miłosierdzia. Zawsze była, jak wspomniano, pełna wyrozumiałości i łaskawości; kiedy atoli Bóg rozszerzył zakres jej działania, zdawało się, że serce to szerszem i gorętszem uczynił. Ogarniała miłością wszystkie Siostry i każdą z osobna i podzielała po matczynemu ich radości i smutki, wybaczając uchybienia, broniąc ich sławy nawet kosztem swojej, bo często przyjmowała winę na siebie. Nie pozwalała mówić źle o Siostrach, tłómacząc je przemyślnie. Szanowała w każdej Siostrze łaskę św. powołania i wielu Siostrom je uratowała; nieraz były Siostry słabe. nie rokujące wiele nadzieji, Siostra Zaleska wstawiała się za niemi mówiąc, że cnota często wynagradza brak sił i pozostawały w Zgromadzeniu; niektóre z nich już wielbią Jezusa w wieczności wraz z swą ukochaną Matką. Szczególną miłością otaczała chore Siostry; gdy dostała jaki datek do własnego rozporządzenia, cieszyła się: „Ach, jaki Bóg opatrzny, użyję tego, żeby zrobić przyjemność kochanym chorym Siostrom, bo te Bogu najmilsze“. Bardzo się starała o utrzymanie miłości i zgody wzajemnej. Razu jednego, opowiada pewna Siostra, czułam niechęć i wstręt do towarzyszki za uczynioną mi niesłusznie przykrość. Dobra nasza matka nakłaniała mnie wszelkimi sposobami do darowania urazy, nic jednak nie zdołało przełamać mej zawziętości. Wówczas S. Wizytatorka wzięła krzyżyk, ucałowała go sama i mnie dała pocałować P. Jezusa w nogi i rzekła: „Siostro droga, dla miłości Jezusa ukrzyżowanego, daruj, ja cię za tę Siostrę przepraszam“. Na widok takiego upokorzenia i tak wielkiej miłości, rozpłakałam się i znikła z mego serca wszelka uraza“. Dla krewnych Sióstr będących w niedoli, robiła co mogła, by im ulżyć i Siostry pocieszyć. Jakąż troską przejęte było jej macierzyńskie serce o Siostry będące pod inwazją. W r. 1915 coraz częściej powtarzała, że się zbliża koniec jej życia i że jedno ma jeszczne pragnienie, tj. odwiedzić wszystkie Siostry uwolnione z pod inwazji rosyjskiej, a potem, dodawała: niech

umrę. Rzeczywiście dokładała wszelkich starań o potrzebne pozwolenie i w czerwcu 1915 r. rozpoczęła swe ostatnie trzymiesięczne wizytacje domów, a bardzo męczące, a kiedy lekarze dziwili się, że w tym wieku naraża się na takie trudy, odpowiadała: „Serce matki nie zna niewygód i trudów". W każdym ocalonym domu dawała na Mszę św. dziękczynną.

Jedna z młodych Sióstr opowiada swe wrażenie z Seminarjum: kiedy śp. S. Wizytatorka przychodziła do ukochanego Seminarjum, rozpromieniały nam się twarze weselem, bo każde jej słowo tchnęło taką serdecznością, jaka tylko z serca najlepszej matki wypłynąć może. Kochałyśmy też najczcigodniejszą matkę miłością dziecięcą, chwile, które nam poświęcała, uważałyśmy za najszczęśliwsze. Lubiła nam często powtarzać te słowa: „Uczcie się drogie dzieci wesoło znosić codziennie małe wasze krzyżyki, bo nabrawszy wprawy w znoszeniu tych małych, przy Bożej pomocy zniesiecie i wielkie, gdy Bóg je ześle i nie złamiecie się pod ich ciężarem". Śp. Siostra Wizytatorka otaczała też miłością troskliwą aspirantki, chciała je widzieć i znać, szczególniej przed pójściem do postulatu.

Niepodobna tu przytaczać wszystkich uwag, które Siostry podały na tle własnego doświadczenia, wszystkie one dowodzą, jak gorejącem było to serce ukochanej i prawdziwej Matki.

A jakżeż ona kochała ubogich! Pod tym względem była nieodrodną córką św. naszych Założycieli. Przedtem miała do czynienia z ubogimi i chorymi jednego tylko domu, teraz rozciągnęła swą opiekę na ubogich całej prowincji. Chorzy, ubodzy, sieroty zawsze pierwsze miejsce mieli w sercu tej dobrej Córki Miłosierdzia. Dla nich nie szczędziła nigdy niczego i największym bólem było dla niej, gdy się dowiedziała o jakiej krzywdzie ubogich, a zalewała się łzami radości, gdy widziała, że Siostry służą ubogim, jak mówiła, po bożemu. Wyrażała się o ubogich z uszanowaniem i z dziwną czułością i rozrzewnieniem, nie znosiła też, by Siostry pogardliwie się o nich wyrażały, wówczas ze smutkiem zwra-

cała uwagę: „Nie mówcie tak, moje kochane Siostry, wszak to nasi panowie“. Nie pozwoliła też źle mówić o ubogich, tłumacząc ich wady i przypisując winę nie złej woli, ale brakowi środków utrzymania, który w dzisiejszych czasach unieszczęśliwia ludzi moralnie. Jedno z pierwszych miejsc w sercu śp. S. Zaleskiej zajmowały sieroty. Przy wizytacji domów dopytywała się troskliwie o dokładne szczegóły, odnoszące się do dzieci, kochała je niezmiernie i Siostrom zalecała wielką macierzyńską miłość dla nich, roztropność w kierowaniu i wyrozumiałość, oraz troskliwe staranie o dobro doczesne i moralne; kładła wielki nacisk na dobre odżywianie dzieci, mówiąc: „Lepiej mieć mniej sierót a żywić dobrze i wychować na zdrowe członki społeczeństwa, bo zdrowie, to majątek sieroty, chcącej żyć uczciwie“.

Ś. p. S. Wizytatorka odznaczała się głęboką pokorą, a żywy jej temperament ileż to dawał okazyj do praktykowania tej cnoty. Kiedy się jej zdawało, że zbyt żywą odpowiedzią wyrządziła przykrość, nie omieszkała zaraz pokornie przeprosić i starała się to wynagrodzić i osłodzić. Jedna z Sióstr, która była postulantką śp. S. Zaleskiej jeszcze w Zakładzie Helclów, opowiadała, że raz dostała nieco ostrzejsze napomnienie od S. Przełożonej i odczuła je mocno. Jakież było jej zdziwienie i zbudowanie, gdy czcigodna Siostra Przełożona przyszła ją pokornie przeprosić, gdyż dowiedziała się, że w tym razie upomniała ją niesłusznie. Takich i podobnych aktów pokory wieleby można naliczyć. Nie polegała nigdy na własnem zdaniu, ale chętnie radziła się nawet młodych Sióstr, gdy szło o rzecz, na której się nie znała. Urząd jej wystawiał ją nieraz na wielkie upokorzenia, które znosiła z pogodą. Gdy przyszła do Seminarjum po raz pierwszy jako Wizytatorka, poprosiła dyrektorkę o pozwolenie, by mogła rozdać obrazki. Budująca była jej cześć i posłuszeństwo dla przełożonych, nic nie czyniła bez ich rady; zbliżała się do nich z głęboką wiarą i przedziwną prostotą i Siostrom to zalecała, powiadając, że dobry stosunek z Przełożonymi oznacza dobry stosunek z Bogiem. Z uszanowaniem

była dla wszelkiej władzy, dla Sióstr urzędniczek i Sióstr służebnych.

Wielką też była prawość charakteru śp. Siostry Wizytatorki; brzydziła się najmniejszem kłamstwem i bała się go jak ognia, a prawdziwie dziecięca prostota tej dobrej Matki dowodziła niewinności i piękności jej czystego serca. Praktykowała przez całe życie umartwienie, a gdy już była słabą i podeszłą w leciech, nie chciała przyjąć żadnego wyróżnienia w posiłku. Umartwień przeróżnych nie szczędził jej Bóg; w długiem jej życiu wiele krzyżów i krzyżyków zsyłał On na tę piękną duszę, ale nic nie wyprowadziło jej z równowagi. W krzyżach widziała ojcowską rękę Najwyższego, który przez zsyłanie cierpień daje duszy wybranej dowody, że ją kocha. Stąd to pochodził u S. Wizytatorki ów przedziwny spokój, jednostajność humoru i miła wesołość, które budowały otoczenie.

Przywiązana całem sercem do Zgromadzenia, kochała i szanowała wielce reguły św. i zwyczaje, wiernie je zachowywała i można powiedzieć, że przez całe życie była Seminarzystką. Mimo choroby i podeszłego wieku wstawała regularnie o godzinie 4-tej, budując tem i zawstydzając młodsze Siostry.

Życie tak piękne, oddane Bogu i bliźnim, z ciągłą pamięcią na wieczność, było doskonałem przygotowaniem na śmierć, która się zwolna zbliżała jako kres i koniec tych długich i żmudnych lat zaparcia i ofiary. W przeddzień śmierci w dniu 4-go kwietnia 1916 r. śp. S. Wizytatorka, jakkolwiek zawsze cierpiąca, czynną była jak zwykle. Wieczorem — opowiada o niej jedna z Sióstr — pozostała w kaplicy, aby wcześniej odmówić modlitwy wieczorne. Po odmówieniu pacierzy, złożyła ręce, wzniosła je cokolwiek w górę (często ją widziałam w tej postawie na modlitwie) i tak długą chwilę wpatrzona była w tabernakulum. Dziwiłam się, że tak długo się modli, że przecie już powinnaby pójść spocząć. Ale były to chwile ostatnie, jakby pożegnanie z Boskim swym Oblubieńcem tu na ziemi. Za kilka

godzin dusza jej czysta na pewno ujrzało Go twarzą w twarz. Przyszedł Pan nagle, bo w nocy, ale nie niespodziewanie, bo zastał serce tej mądrej dziewicy czuwające i gotowe na Jego przyjście — i powołał od pracy do spoczynku. Stanęła ta wybranka Boża przed Ojcem swym i Sędzią, któremu tak wiernie służyła przez lat 55 w Rodzinie św. Wincentego. Po krótkim ataku serca o godz. 3-ciej rano w dniu 5 kwietnia 1916 r. opuściła ten ziemski padoł. Ten, Któremu tak ufała, przyjął ją miłościwie, bo wszak sam powiedział, że „miłosierni dostąpią miłosierdzia".

Żal był ogólny nie tylko wśród najbliższej rodziny i ubogich, ale wszędzie, gdziekolwiek znano śp. Siostrę Wizytatorkę, a obrzęd pogrzebowy był poprostu triumfem jej pokory. Za wielkie nabożeństwo ku duszom czyścowym, za które tak często dawała na msze św., Bóg hojnie ją wynagrodził. Mnóstwo mszy św. odprawiono zaraz po śmierci, a w dzień pogrzebu przy zwłokach od godz. 5-tej z rana aż do eksportacji nieustannie msze św. wychodziły. Wielka liczba kapłanów, Panie Miłosierdzia, lekarze, krewni Sióstr, Dzieci Marji, ubodzy i sieroty ze wszystkich naszych zakładów i mnóstwo innych osób z żalem i wdzięcznością świadczyli o wspaniałomyślnem sercu tej ukochanej zmarłej, oddając jej ze czcią tę ostatnią przysługę.

Oto kilka zaledwie rysów tej przepięknej duszy, kilka kwiatuszków rzuconych na ukochaną mogiłę Tej, której życie ukryte w Bogu, Bóg tylko mógł znać, rozumieć i wynagrodzić. Łzy rzewne, które tak obficie nad grobem jej płynęły — ból i pustka którą po sobie zostawiła w sercach kochających, to najlepszy dowód czem była Ta, która w pokorze swej uważał a sięzawsze za niepożyteczną sługę w służbie Pana.

S. Helena Kubicka.

Ś. p. Agnieszka Trocha

zmarła w szpitalu w Tarnowie 28 czerwca 1920 r., licząc lat 32 życia i 11 powołania.

Mając przed sobą kilka listów Sióstr, które znały dobrze kochaną naszą S. Katarzynę (takie bowiem imię nosiła w Zgromadzeniu), nie wiem, co wybrać z tych wszystkich szczegółów do uwag o zmarłej, którą wszystkie kochały, a niektóre towarzyszki nazywały w poufnym języku między sobą „miłością". Aby jednak zachować porządek, trzeba zacząć od kilku wspomnień z lat młodości. Wówczas już liczne rodzeństwo przekładało Agnieszkę nad drugich, bo miała w sobie coś, co pociągało i budziło zaufanie; była zawsze skromna, choć wesoła, a po pierwszej Komunji św. często przy drzwiach zamkniętych kościoła klęcząc gdzieś w kąciku, aby nie być widzianą, przepraszała Pana Jezusa i starała się wynagrodzić Mu za zniewagi, albo nieuszanowania, których niekiedy była świadkiem, w małem miasteczku.

Poczuwszy w sobie powołanie do szczególniej służby Bożej, wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia. Jej pobyt w Seminarjum, tak opisuje jedna z towarzyszek:

„Ś. p. S. Katarzyna była uważana ogólnie jako wzór Seminarzystek i była nim też w istocie. Od pierwszego dnia, gdy wstąpiła do Seminarjum, trwała niezmiennie w ścisłem zjednoczeniu z Bogiem, nie widziałam jej nigdy smutnej lub przygnębionej, jak to się czasem zdarza u osób, które co dopiero wstąpiły na drogę pobożności, ona służyła Panu z weselem; swobodna, a nawet dowcipna, na rekreacji umiała panować nad sobą tak, że nigdy jednego niepotrzebnego słowa nie powiedziała. Sam jej widok wystarczał, by zmusić niektóre mniej umartwione do milczenia i skupienia. Każde spojrzenie na nią wywoływało we mnie mimowoli pewne zawstydzenie i upokorzenie; wobec niej czułam się taką niedoskonałą, i tegosamego wrażenia, doznawały i inne towarzyszki. Zawsze bardzo gorliwa o zachowanie zwyczajów Seminarjum, dopytywała się o wszystko, nic dla niej nie

było obojętnem i nigdy żadnego słowa z konferencji lub instrukcji nie uroniła, ale je sobie powtarzała, lub spisywała. Szczególną zwracałam na nią uwagę przy odmawianiu koronki; sądzę, że było to dla niej najmilsze nabożeństwo, bo twarz jej wtedy dziwnie się rozjaśniała, oczy utwiła w figurę Najśw. Panny, a koronkę trzymała tak, jak trzyma się coś bardzo cennego i kosztownego".

Po wyjściu ze Seminarjum powierzono jej obowiązek odwiedzania ubogich. Oto co pisze o niej jedna z jej towarzyszek urzędu: „Budowała mnie S. Trocha zawsze swoją nadzwyczajną słodyczą i cierpliwością, tak względem Sióstr z nią pracujących, jak i ubogich. Im większą znalazła nędzę, tem zdawała się być szczęśliwszą w oddaniu im najniższych posług, które wykonywała z taką delikatnością i miłością, iż w zdumienie wprawiała Siostry, towarzyszące jej niekiedy w tych odwiedzinach. W każdym ubogim widziała żywego Pana Jezusa, to też tak ich obsługiwała, jak gdyby samemu Bogu służyła. Pomimo dolegliwych cierpień fizycznych, jakim często podlegała, zawsze była gotową, nawet nieraz późnym wieczorem, nieść jeszcze pomoc ubogim, na najdalsze dzielnice miasta, nie zważając na niepogodę, ani zimno".

Kiedy wskutek tego bardzo podupadła na zdrowiu, została przeniesioną do Tarnowa, jednak już nie do służenia bezpośrednio chorym, ale do pomocy w kancelarji. Tarnów miał być ostatnim przystankiem naszej drogiej siostry, na drodze do nieba. Tutaj znowu budowała wszystkich swoją pobożnością i akuratnością w odprawianiu ćwiczeń duchownych i zawsze chętnie pracowała dla Zgromadzenia, myśląc tylko o tem, czem mogłaby się przysłużyć domowi, w którym mieszkała, a temsamem nieść pomoc ubogim chorym. Kierując się temi pobudkami, zawsze była gotową jechać, aby zdobyć prowianty dla szpitala, — pisze o niej jej Siostra Służebna — i nie zważając na słabe swe siły, znosiła ochotnie niewygody i różne w obecnych czasach nieodłączne od podróży trudności, nie uskarżając się nigdy na zmęczenie po powrocie do domu, szczęśliwa, że przynajmniej na czas jakiś będzie czem wyżywić chorych.

Do pomyślnego załatwiania tych spraw wiele pomagała jej delikatna i nieprzesadna uprzejmość, poważne, skromne i pokorne zachowanie się wobec odnośnych władz, tak, że z łatwością uzyskiwała to, za czem inni długo, a czasem bezkutecznie, chodzić musieli.

W pożyciu ze Siostrami — pisze dalej — można powiedzieć, była idealną, nigdy nikomu najmniejszej nie wyrządziła przykrości, przeciwnie chwytała każdą okazję, by módz czemkolwiek przysłużyć się towarzyszkom; zawsze uczynna dla drugich, dla siebie niewymagająca. Służenie chorym, było dla S. Katarzyny rozkoszą jej duszy i chociaż umieszczona w kancelarji, zawsze wyrywała się na czuwanie nocne przy chorych i na zastępstwa wyjeżdżających Sióstr. Wtedy pełna zadowolenia chodziła uśmiechnięta i powtarzała często: „jaka ja szczęśliwa na sali chorych". W tych razach zwykle urządzała większe sprzątanie w oddziele, co nieraz zauważyli lekarze, bardzo skąpi w pochwały i uznania dla Sióstr.

Ta jej gorliwość, stała się ostatecznie powodem zarażenia się tyfusem plamistym, którego też padła ofiarą. Po przyjęciu z wielką pobożnością S. Sakramentów powiedziała: „niech się dzieje wola Boża, teraz jestem spokojna". I mogła nią być istotnie, bo tak jak wypisać kazał dyrektor na wieńcu ofiarowanym przez szpital tarnowski na jej trumnę, „przezacnej ofierze obowiązku", tak też ona pełniła wiernie do końca obowiązek powołania swego.

ROZMAITOŚCI.

Powóz św. Wincentego a automobil O. Generała. Czytamy w żywocie św. Wincentego, że księżna d'Aiguillon, zmartwiona tem, że jej ukochanemu Ojcu chodzenie sprawia wiele trudności, kupiła dlań powóz, a nasz św. Fundator, acz niechętnie, posługiwał się tą, jak ją nazywał „hańbą"; w owym czasie powóz był rzeczywiście przedmiotem zbytkownym i tylko wysokie osobistości nim jeździły. Nasi konfratrzy ze wschodnich Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, dowiedziawszy się o tem, że następca śp. Wincentego, ks. Verdier, cierpi reumatyzm i również doznaje trudności w chodzeniu, umyślili wznowić szlachetny gest księżnej d'Aiguillon i ofiarowali Najczcigodniejszemu Ojcu już nie powóz, bo ten już nie jest w modzie, lecz automobil, rzecz obecnie mniej luksusową, niż powóz w wieku 17, a Ojciec Generał uznał za rzecz odpowiednią postąpić sobie nie inaczej, niż św. Wincenty — ofiarowany dar przyjął. *(Annales, 1921, str. 72)*

Zwyczajnik Sióstr Miłosierdzia. W ostatnich numerach Roczników francuskich zamieszcza kronikarz systematycznie przy każdym ważniejszym dniu wyjątki z najdawniejszego zwyczajnika Sióstr Miłosierdzia i zajmuje się pytaniem, kiedy zwyczajnik został napisany i kto jest jego autorem. — Najpierw co się tyczy daty powstania. Jest w zwyczajniku notatka o fundacji w Charenton, pochodzącej z r. 1682, więc zwyczajnik nie może być wcześniejszy od tej daty; z drugiej strony jest w nim wzmianka o Colbercie, jako o osobie jeszcze żyjącej, a wiadomo, że Colbert umarł we wrześniu 1683; dalej, nigdzie niema wzmianki o tem, że się u Sióstr Msza św. odprawia, przeciwnie ciągle powtarza się notatka, że Siostry chodzą na Mszę św. jużto do św. Wawrzyńca, jużto do św. Łazarza, otóż pozwolenie, że u Sióstr może się odprawiać Msza św., sięga lutego 1683, stąd wniosek, że zwyczajnik jest starszy od tej daty, został więc napisany w roku 1682. Znajdują się w tym zwyczajniku przypiski, dodatki i poprawki, pochodzące conajmniej od dwóch odrębnych pisarzy. Co się tyczy autora zwyczajnika, to pewne wskazówki znajdujemy na stronicy 10, gdzie czytamy rzecz następującą: „Kiedy ks. Gicquel został zamianowany dyrektorem Sióstr, wtedy stwierdzając fakt,

że poprzednik jego ks. D'Horgny i czcigodna Siostra Przełożona Małgorzata Chétif wdrożyli starania celem zebrania wszystkich, jakie tylko mogli mieć, wiadomości o życiu ś. p. Panny Le Gras, naszej najczcigodniejszej pierwszej Przełożonej, polecił nowo obranej Przełożonej (Mathurine Guérin) spisać wszystkie wiadomości, jakieby zdołała wydostać od czcigodnej Siostry Małgorzaty Chétif; to dało początek temu małemu zwyczajnikowi; stąd to wszystkie wiadomości, jakie można było zebrać o dziełach naszej zacnej matki, Panny Le Gras, i o jej zasługach dla Domu Macierzystego, tam można będzie znaleść".

(Annales, 1921, str. 17.)

„Nagroda cnoty" przyznana Siostrom Miłosierdzia w Elancourt i w Damaszku. Akademja francuska na posiedzeniu z dnia 25. listopada 1920 r. pomiędzy różnemi nagrodami przyznała także tak zwaną „nagrodę cnoty" (prix de vertu) zakładom Sióstr Miłosierdzia w Elancourt i w Damaszku. Przy tej okazji wygłosił dawny prezydent Republiki francuskiej, p. Rajmund Poincaré, wspaniałą mowę pochwalną, którą tu podajemy w streszczeniu:

„Nigdy jeszcze nie było epoki, którąby więcej obfitowała w nędzę pod wszelaką postacią, co czasy obecne. Obok tych sierotek wojennych, któremi zaopiekowała się Francja, i które, rzecz oczywista, są szczególniejszym przedmiotem pieczołowitości całego narodu, są jeszcze inne sieroty, gdyż obfita kośba, jaką śmierć urządziła w walczących szeregach, wcale nie umniejszyła jej zwyczajnej roboty. Zakłady sieroce, takie, jak np. zakład w Elancourt, otwarły swe podwoje na przyjęcie dzieci obydwu kategoryj.. Dom w Elancourt istnieje już przeszło 50 lat; od r. 1866 wpisany został na listę zakładów użyteczności publicznej. Ksiądz proboszcz miejscowy jest, najsłuszniej w świecie, jego kierownikiem, trzydzieści zaś Sióstr św. Wincentego a Paulo pełni tam posługi i prowadzi lekcje. Te niezrównane niewiasty całą swoją istotą poświęcają się swemu zadaniu. Trudnią się wychowaniem sierót, krają i szyją dla nich ubranka, robią dla nich pończoszki i inne dziecięce fatałaszki, a ponieważ wełna, stawszy się skutkiem wojny rzadkością, jest niemożliwie droga, więc kupują owcze runa, oczyszczają je i zyskują tym sposobem przędzę. Dzień i noc spędzają przy dzieciach, bo tesame Siostry, które uczą w klasach, odbywają potem dozór w sypialniach. Otrzymują one rocznie na jedną osobę 150 franków pensji; nie urządzają atoli strajków ani nie domagają się podwyżki. Podobnie, jak ks. Michał Bon, proboszcz z Elancourt, będą one jutro uradowane, skoro się dowiedzą, że zakład ich otrzymuje od Akademji nagrodę 1500 franków, z czego ani centym nie pozostanie w ich dłoni ani w dłoni kierownika tego zakładu.

Chciałbym wam także opisać pełną poświęcenia działalność, jaką we Vaugirard rozwija dzieło Dzieciątka Jezus, dzieło prawdziwie opatrznościowe dla tylu młodych ubogich dziewcząt. Lecz jakżeż tu odwrócić

oczy od innych jeszcze dzieci, które z dalekiej obczyzny do nas wyciągają rączęta? Mam na myśli małoletnich mieszkańców Zakładu św. Józefa, domu sierocego w Damaszku. Swemi drobnemi dłońmi bili oni oklaski, gdy — kilka tygodni temu — wchodziło tam wojsko francuskie. Dla Sióstr Miłosierdzia, które oddawna tym zakładem kierują i szerzą w Syrji miłość do Francji, była to piękniejsza nagroda, aniżeli ta, którą my im dzisiaj ofiarujemy, lecz umieszczając je na liście odznaczonych, sami stwarzamy sobie złudzenie, jakobyśmy byli przy ich boku w owym momencie, kiedy one na widok defilujących sztandarów francuskich czują, jak cisną im się do oczu łzy. Co za tragiczne koleje przechodził ten starodawny zakład! Przytułek dla sierót istniał już od kilku lat, gdy wtem w r. 1860 wybuchły rozruchy, ktore spowodowały w Syrji interwencję francuską. Siostry Miłosierdzia miały podówczas u siebie 120 dziewcząt, chrześcijanek i Arabek. Nauczycielki wraz z uczennicami zostały uratowane od śmierci przez syna Abd-el-Kader'a, lecz po dziesięciodniowem internowaniu w cytadeli niebożęta musiały opuścić Damaszek i schronić się do Bejrutu. Całą dotychczasową pracę trzeba było rozpoczynać od nowa. Przy pomocy kardynała Lavigerie wystawiły na wybrzeżu nowy dom, schronisko dla sierót, jakie przyciągnęły z głębi kraju. To przymusowe wysiedlenie bynajmniej ich nie zniechęciło. Po upływie lat ośmiu puściły się w drogę powrotną do Damaszku i na nowo otworzyły w tym mieście dom dla sierót, szkoły i ambulatorjum. W r. 1914, gdy wybuchła wojna, miały w swoich klasach 750 dzieci obojga płci, które pobierały tamże naukę języka francuskiego. Siostry uczyły także bezinteresownie trzystu ubogich malców i opatrywały w ambulatorjum dziennie 600 chorych wszelkich wyznań. Z dniem, w którym Turcja opowiedziała się po stronie Niemiec, byt Zakładu św. Józefa został poważnie zagrożony. Bądźmy jednak sprawiedliwi i przyznajmy Dżemalowi paszy tę zasługę, że opiekował się Zakładem w czasie swego w Damaszku pobytu, lecz zaraz po jego odjeździe do Jerozolimy Zakład uległ rabunkowi; sieroty rozpędzono, inwentarz szkolny: ławki, tablice, przeniesiono do szkół muzułmańskich. Z wielką biedą Siostry zdołały umknąć. Dwie z nich zostały w Damaszku wraz ze Siostrami syryjskiemi, aby poświęcić się usłudze rannych, chorych i ubogich, umierających z głodu. Zaraz po zawarciu rozejmu Siostry Miłosierdzia, zachęcone przez rząd Rzeczypospolitej, powróciły znowu do Syrji w liczbie 15. Przyjechawszy do Damaszku dnia 31 stycznia 1919 r., zastały swoje mieszkanie zdemolowane, lecz nie zajęte przez Turków; wnet przywróciły brudne sale do porządku, w miejsce zniszczonych lub rozkradzionych mebli postarały się o inne i ogłosiły, że dziatwa może ściągać z powrotem. W paru tygodniach zbiegło się 500 uczniów, 50 sierót i chorych, chromych, trędowatych, jednem słowem istne zbiorowisko ludzi nieszczęśliwych, dla których powrót Francuzów był prawdziwem zmartwych-

wstaniem. Intrygi Feysala*) o mało co nie udaremniły wszystkiego. Siostry słyszały codziennie, jak zwolennicy Francji pytali się z niepokojem: co będzie z naszemi przywilejami i naszemi tradycjami; lecz postawiliśmy na swojem, a Siostry Miłosierdzia mogą sobie teraz wystawić to chlubne świadectwo, że wraz z innymi Francuzami, tak zakonnymi jak i świeckimi, zamieszkałymi w Syrji, tworzyły najlepszą straż przednią generała Gouraud.

Czyniąc przegląd naszych zakładów zagranicznych, nie można się oprzeć pokusie, by przy każdym z nich nie zrobić dłuższego przystanku. Nie opuszczając Damaszku, czyż nie miałbym wiele do powiedzenia o szpitalu francuskim św. Ludwika, w którym zeszłego roku doznawało opieki lekarskiej 783 chorych turków, żydów, schizmatyków, protestantów i katolików różnych obrządków? Przełożona tego zakładu, Siostra Gauthier, również należy do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia. A jakżeż zapomnieć o innym szpitalu św. Ludwika, w Jerozolimie, nad którym Francja nie będzie już, niestety, sprawowała opieki bezpośredniej?"

---

*) Emir Feysal, zdetronizowany przez generała francuskiego Gouraud, popierany był przez Anglję.

(Annales 1921, str. 34.)